Nr. 25. Kraków, dnia 19 czerwca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

Prowokacye niemieckie.

Rzecz znana powszechnie w kraju.

Podczas uroczystego obchodu dziesięciolecia gniazda sokolego w Białej, zorganizowana banda hakatystów bialskich i bielskich napadła, prowokując, na zjeżdżających z różnych stron sokołów do Białej, zachowując się brutalnie i wyzywająco. Brutalnemi obelgami: „Polnische Schweine“ obrzucała przybyłych, bezbronnych opadła, ciskając kamieniami; zarząd kolejowy wstrzymał pociąg przed stacyą i kazał sokołom wysiąść, aby tłumu rozhukanego namiętnościami „nie drażnili i nie prowokowali“.

I to wszystko działo się w biały dzień, zorganizowane naprzód, i naprzód obwieszczane w miejscowem pisemku wszechniemieckiem, i naprzód ogłaszane afiszami podburzającymi i ulotnemi kartkami.

Dalej: na siedmiu sokołów i dwie kobiety, powracających w spokoju z uroczystości bialskiej do domu, do Janowic, niemieccy prowokatorzy napadli w Hałenowie, darząc jadących wyzwiskami i obrzucając kamieniami. Te kamienie, ważące 1—2 kg. opadnięci sokoli wzięli ze sobą, aby schować na wieczną pamiątkę w mającem powstać w Janowicach „muzeum“ lokalnem, gdzie gromadzić się będzie wszelkie takie dowody „kultury niemieckiej“.

Nagie fakty.

* * *

Czegóż one dowodzą?

To jeden objaw w długiej i twardej walce polskości z żywiołem niemieckim. Trwa walka ta od zarania dziejów Polski i Słowiańszczyzny aż po dzień dzisiejszy. Nieustanna, niekiedy brutalna i krwawa, kłębiąca się tysiącami ciał pole głych i rzekami krwi przelanej, niekiedy pokojowa, ale pełna zmagań o dobrobyt i ziemię, o kulturę i dusze.

Na ciele Rzeczypospolitej polskiej wyrośli Krzyżacy, a z nich państwo pruskie, obecnie nieprzyjaciel nasz najpotężniejszy, bo rozporządzający siłą ogromną, wysoką kulturą, dobrze zorganizowaną machiną państwową. Ono jest najmocniejszym wyrazem potęgi niemieckiej, ono dominuje ponad wszelkiemi związkami niemieckiemi, ono też ześrodkowuje w sobie uczucia większości Niemców.

Państwo pruskie jest też kierownikiem polityki rządów zaborczych wobec Polaków. Samo w swem łonie posiadające z górą 4 miliony Polaków stosuje wobec nas znane powszechnie metody, mające swe punkty kulminacyjne w: komisyi kolonizacyjnej, ustawie o wywłaszczeniu i ograniczeniu praw języka polskiego.

Operując dużą masą ludzi, oddziaływa silnie na bieg spraw politycznych w Rosyi. Tam biurokracya, żywioł, który najmocniej aranżuje całą politykę antypolską, składa się w przeważnej części z Niemców; tam sternikami myśli politycznej i praktycznymi wykonawcami ideologii państwowej pruskiej, są głównie Niemcy.

Także prądy pruskie, wszechniemieckie oddziaływują silnie w Austryi. W Czechach i wogóle krajach przylegających do Prus, są one decydujące, w innych krajach koronnych monarchii austro-węgierskiej paraliżuje te wpływy jedynie popularność, jaką dynastya habsburska cieszy się, zwłaszcza w krajach naddunajskich i południowych.

Wpływy pruskie niezwykle silnie oddziałały na Niemców galicyjskich. Za inspiracyami wszechniemieckich agitatorów, czerpiących ideologię swoją z Berlina, w Galicyi powstał „Związek Niemców chrześcian“, który wprawdzie odżegnywa się od ruchu wszechniemieckiego, ale faktycznie jest jego rzecznikiem i ruchowi temu ściele podłoże w duszach ludności.

Obok tego ruchu, mającego cechy i tendencye wybitnie polityczne, krzewi się w kraju silnie ekspansya niemiecka — Niemcom przedewszystkiem

chodzi o Śląsk Cieszyński. I proszę popatrzeć na mapę Śląska cieszyńskiego, jak sprytnie Niemcy, chcąc zerwać wszelką łączność Śląska z macierzą polską opasują go koloniami niemieckiemi na północy od Śląska Górnego i na wschodzie od Galicyi. Wiedzą bowiem, że zniszczywszy nici, wiążące Śląsk z Polską, łatwiej przyjdzie im go zniemczyć, a zniemczywszy Śląsk, z tem większym naporem będą mogli pójść na Galicyę.

I dziś widzimy opromnie silny ich napór na zagłębie chrzanowsko-krakowskie, na powiaty wadowicki, żywiecki, bialski, na miasto Kraków. Chwilami i miejscami ma się wrażenie, że okolice te są marchiami niemieckiemi — i należy żywić bardzo poważno obawy o ich przyszłość.

* * *

Wypadki w Bialskiem dowodzą, że Niemcy obok swej rzuconej na Galicyę siły ekonomicznej w formie kapitału, handlu i przemysłu, niemi usiłują pomiędzy nami wywołać popłoch, trwogę i obawę. Przerazić i przygnieść nas moralnie chcą nas swą siłą.

Co my możemy temu przeciw stawić?

Przedewszystkiem zorganizowaną w Tow. Szkoły Ludowej i Macierzy Szkolnej akcyę oświatowo-kulturalną. Jest obowiązkiem każdego działalność tych ogólno narodowych instytucyi poprzeć najusilniej i finansowo i współudziałem osobistym w pracy.

A drugie: musimy im przeciwstawić zwartą opinię narodową. Sami pozwalamy gnieździć się niemczyźnie u nas: tolerujemy niemczyznę jako język towarzyski, tolerujemy niemczyznę w handlu i przemyśle, tolerujemy ją w urzędach, nie dopominając się energicznie i stanowczo praw naszych, nadanych przez ustawy zasadnicze konstytucyjne.

Zbytnia tolerancya, pochodząca z apatyi i bezradności, nas zabiła. Zabija nas dzisiaj w życiu codziennem.

W stosunku do niemczyzny musimy z nią zerwać dziś. Dziś — w promiennym Roku Grunwaldzkim.

***

Wychodząca w Cieszynie, znana i wpływowa *„Silesia“*, polakożerczy dziennik wszechniemiecki, pisząc o stosunkach galicyjskich, zwraca uwagę na działalność publicystyczną TYGODNIKA NARODOWEGO, która jest typowym wyrazem uczuć patryotycznych polskich, nie podoba się „Silesyi“ przedewszystkiem nasza propaganda Grunwaldu i nieustanne podsycanie u czytelników wiary w przyszłość naszą narodową i własne siły. Denuncyacya pisma wszechniemieckiego jest nam uznaniem za pracę. Intencye denuncyacyi Czytelnikom naszym łatwo odgadnąć — i sparaliżować je przez gorliwe poparcie TYGODNIKA NAR. w gronie znajomych i przyjaciół.

Z kresów bukowińskich.

Czerniowce.

Odnieśliśmy duże zwycięstwo! Sankcyonowano reformę wyborczą sejmową, o której sankcyę kraj starał się od dawna.

Sejm bukowiński jeszcze przed laty pięcioma uchwalił nową ordynacyę wyborczą do Sejmu. Ordynacya ta dla nas nie była korzystna. Polacy w kuryi powszechnej nie zyskiwali żadnego mandatu. Był to okres, w którym Polacy jeszcze nie byli tak zorganizowani jak obecnie — i kiedy nie obudziła się jeszcze świadomość narodowa u szerokich warstw robotniczych po miastach i włościańskich wsiach. Był to okres, kiedy we Wiedniu ważyły się losy reformy wyborczej do parlamentu, która Polaków pokrzywdziła wogóle, a w szczególności Polaków bukowińskich, nie dając im żadnego przedstawiciela. Jest to krzywda ogromna, żeby 50.000 ludności polskiej na Bukowinie nie miało w parlamencie żadnego spraw swoich obrońcy, żeby ich przedstawicielami byli: ukrainiec Wassilko, Rumun Quiul, żyd syonista Straucher lub wszechniemiec Wiedmann!

Jedynem „szczęściem w nieszczęściu“ było to, że Polacy bukowińscy zyskali wielkiego przyjaciela swej sprawy w prezesie Koła Polskiego, d-rze St. Głąbińskim. On uznał siebie nie jako przedstawiciela Galicyi, ale jako reprezentanta wszystkich Polaków całego zaboru austryackiego. W wystąpieniach swoich brał zawsze w obronę nasze sprawy i jego obronie zawdzięczamy uzyskanie kilku dóbr narodowych na polu szkolnictwa i na polu religijnem.

Sankcyonowana nowa ordynacya wyborcza — a do jej sankcyi przyczynił się również i prezes Koła Polskiego — oznacza liczbę ogólną posłów oa 56, z tego na Rumunów przypada posłów 20, na Rusinów 19, na Niemców 11, a na Polaków 6. Polacy wybierają czterech posłów z większej własności a 2 z kuryi ogólnej. W ten sposób w sposób prawny Polacy raz na zawsze zyskują swoją reprezentacyę i przestają być narodem paryasów i helotów jak dotąd. Nowe wybory, jakie odbędą się albo na jesieni albo zimą wprowadzą do sejmu czerniowieckiego także przedstawicieli ludu polskiego, których tam dotąd brakowało. *Z-ski.*

Józef Chociszewski.

W tym roku obchodzi Józef Chociszewski złoty jubileusz swej pracy literackiej.

Czem był i czem jest Józef Chociszewski dla ludu, dla społeczeństwa polskiego pod zaborem naszem, o tem wiedzą wszyscy.

To obywatel-Polak, który od samego początku swej pracy literackiej krzepił i umacniał ducha polskiego i krzepił go w swych licznych dziełkach ludowych. Cokolwiekbądź wydał lub napisał, ożywione było zawsze najgorętszą miłością dla sprawy naszej ojczystej. A przedewszystkiem uczył i kształcił lud i młodzież. Ludowi i młodzieży poświęcał swe liczne dzieła. Jego dzieła rozchodzą się też w tysiącznych egzemplarzach pomiędzy ludem polskim.

Ale choćby był nic więcej nie wydał i napisał, jak tylko swoje „Dzieje Narodu polskiego“, już to samo byłoby mu zapewniło imię jednego z najdzielniejszych bojowników sprawy naszej ojczystej.

Na tem dziele uczył się lud, uczyła się młodzież, uczyła się nawet inteligencya dziejów narodu polskiego. Uczył w swem dziele poznania przeszłości wielkiego narodu, który przez wieki całe słynął z cnót męstwa i waleczności, przeszłości wielkiego państwa polskiego, które przez wieki całe było przedmurzem chrześciaństwa i Europy.

Uczył w swem dziele „o Piaście, co Bogu miły i od ludu kochany“, z rolnika wyniesiony został na tron polski, o Kazimierzu Wielkim, ostatnim z Piastów rodu, którego królem chłopków nazywano, o Mieczysławie, co ochrzcił ziemię polską, o Bolesławie, co rozszerzył jej granice od Łaby do Dniepru, o Jagiellonach, o połączeniu się Litwy i Polski, o Janie III pod Wiedniem, o Konstytucyi Trzeciego Maja, o ostatnich bohaterach, o Pułaskim, o Kościuszce pod Racławicami, Dąbrowskim we Włoszech, Poniatowskim pod Lipskiem.

A że w szkołach tego uczyć nie wolno, więc uczono się przy ogniskach naszych domowych, żeby nietylko zapoznać się z przeszłością naszą, ale nauczyć się kochać, czcić i szanować to, co każdemu sercu polskiemu drogiem i świętem pozostać winno. Już to jedno dzieło imię Czcigodnego Jubilata zapisuje w szeregi najzasłużeńszych naszych bojowników około sprawy ojczystej.

A to mnóstwo innych jego dzieł i dziełek! Te liczne jego powieści i powiastki dla ludu i dzieci, te gry narodowe dla dzieci i dorosłych, te dramaciki i komedyjki na przedstawienia ludowe. A we wszystkiem tem przebija nuta serdeczna obywatela i Polaka, nawołująca do obowiązków narodowych, do ukochania tego co nasze, co swojskie, co polskie. Przecierpiał też sędziwy Jubilat liczne lata więzienia pruskiego. Rozmaite jego dzieła konfiskowała prokuratorya pruska, wytaczała mu liczne procesy, a sądy pruskie skazywały go albo na ciężkie kary pieniężne, lub też cięższe jeszcze kary więzienne.

Dola w jego życiu, w jego pracy literackiej i pracy dla narodu twardemi naznaczyła się szlakami. O ile pracował dla społeczeństwa, o ile oddawał mu wszystko, co miał, bo pracę, zdrowie siły, zachody opłacone ciężkiemi karami, pieniężnemi i więziennemi, o tyle walczyć musiał z przeciwnościami najrozmaitszemi, z niedostatkiem, i do dziś dnia sędziwy Jubilat w podeszłym wieku, zgnębiony chorobą, nie ma potrzebnych wygód, na jakie, jeżeli kto, to on zasłużył.

I dziś jeszcze, jak za młodych lat, zasypany, książkami i papierami, pracuje ciężko przy swem biurku od rana do wieczora, żeby służyć sprawie ojczystej. Choć 70 minęło mu już lat, duch w nim zawsze młody i ten sam zapał, jak przed 20, 30, 50, i ta sama w nim wiara w nieśmiertelność narodu naszego.

Cześć temu Mężowi, cześć Jego pracy i niezłomnemu duchowi w uciążliwej, twardej a nieustraszonej, długiej, przeciwnościami, walkami, cierpieniami i niejednokrotnie brakiem uznania znaczonej służbie dla narodu, a szczególnie dla ukochanego przez niego ludu polskiego, ukochanej młodzieży, umiłowanych dzieci. Cześć oddajmy Mu od krańca do krańca ziem polskich.

Z zagadnień życiowych.

K. Krose znany w literaturze niemieckiej specyalista dla statystyki kryminalnej i obyczajowej w Niemczech, zebrał swe badania o samobójstwach w dwóch dziełkach: Der Selbstmort in XIX Jahrhundert i Die Ursachen des Selbstmordes. Kilkadziesiąt tablic wykazuje tutaj cyframi ile samobójstw zdarzyło się w ubiegłym wieku w każdem z państw europejskich. Z tablic tych dowiadujemy się tak ciekawych rzeczy, jak np. że co do ilości samobójstw, pierwsze miejsce zajmuje niemieckie państwo. Potem Dania, Finlandya, Szwajcarya, Francya, Prusy właściwe (300—200 mieszkańców).

Poniżej 150 samobójstw (na milion mieszkańców) liczy Austrya, Bawarya, Szwecya, Belgia, Alzacya. Poniżej 100 Anglia, Norwegia, Szkocya, Hollandya, Włochy. Reszta państw, jak Rumunia, Rosya, Serbia, Irlandya liczą samobójstw mniej niż 50 na milion. Najmniej, bo 19 na milion, liczy Hiszpania. W samych zaś Niemczech prym trzymają okolice czysto protestanckie, jak królestwo Saskie, Hamburg, Bremena, Brunświk itd., gdzie frekwencya dochodzi do trzystu kilkadziesiąt na milion. W jednej zaś miejscowości Koburg-Esta aż do 420. Jeśliby ta liczba miała być oznaką wyższej kultury, to chętnie ustępujemy pierwszeństwa, mając do zaznaczenia tylko 07 wypadków na milion w Poznańskiem. Również i w Austryi jedno z ostatnich miejsc zajmuje Galicya, bo 97 na milion. Szkoda, że niema odpowiednich danych z państwa rosyjskiego, wtedy możnaby mieć dokładniejsze wiadomości o ile w tym względzie naśladujemy zagranicę.

A naśladownictwo jest silnem, gdyż co roku zwiększa się i u nas liczba samobójstw, przeciętnie można brać co roku o 10 procent; nie ustępujemy więc pod tym względem w niczem zagranicy. Przyrost ten jest wprost zatrważający. Od roku 1800 do 1900 wzrosła liczba samobójstw w Szwecyi o 227, we Francyi o 1,339, we Włoszech o 438, we Węgrzech o 1,250, w Niemczech o 1,053 itd. A więc ludność wzrasta w Europie przeciętnie o 60 procent, samobójstwa o 400 procent.

Zgroza przejmuje na myśl co to będzie, jeżeli w tem samem tempie wzrastać będzie liczba samobójstw i nadal. Mimowoli nasuwa się każdemu pytanie, jaka tego przyczyna? Nasamprzód zastanawia się autor nad tem czy klimat wpływa na samobójstwa, jak to utrzymywało wielu uczonych. Ale statystyka wykazuje co innego: Grecya, Włochy i Hiszpania wykazują całkiem odmienne cyfry. Maj i czerwiec, kiedy właśnie cała przyroda tchnie nowem życiem, to miesiące, w których najwięcej samobójstw się zdarza; niedzielę możnaby nazwać ulubionym dniem samobójstw dla kobiet (36 proc. na 100 samobójstw mężczyzn), a poniedziałek dla mężczyzn (69 proc.). Choćby ten tylko fakt nasuwa na myśl, że w samobójstwach, przeważną rolę odgrywają kwestye nie tyle fizyologicznej, jako raczej moralno-socyalnej natury; że stosunki społeczne rzeczywiście decydują tutaj, na to wskazuje i Japonia, gdzie na 100 samobójstw mężczyzn, liczy się 57 samobójstw kobiet — a znanem jest powszechnie, jak bardzo różni się stanowisko kobiety japońskiej a naszej; wskazuje na to i ściślejsze badanie samobójstw w krajach katolickich i niekatolickich.

Również i wiek wpływa na liczbę samobójstw. Kobieta-matka (lata mniej więcej 25—40), mężczyzna w pierwszych latach ustalenia swego losu i szczęścia rodzinnego (30—40), jako też i bardzo podeszły starzec, nie myślą sobie o skróceniu życia, gdy przeciwnie czas rozczarowań i pierwszych zawodów młodości (u mężczyzn od 20—35, u kobiet nieco wcześniej) nasuwa im te myśli.

Zatrważającem zjawiskiem jest przyrost samobójstw u dzieci od lat 10—15. Jaka tego przyczyna? Przeważnie szkoła. Na 289 samobójstw uczniów największa część (70) odebrała sobie życie z obawy przed karą. Największy też przyrost samobójst dzieci okazał się w Niemczech od lat trzydziestu tj. od czasu wielkich reform na polu szkolnictwa (ze 191 samopójstw w r. 1873 na 324 w r. 1898). Byli to przeważnie uczniowie leniwi, stąd częsta a słuszna obawa przed karą, a szkoła wedle systemu pruskiego, tworzy osobny świat i całkiem może szkodliwie działający na rozwój myśli i ideałów u dziecka, przedewszystkiem przy zbytniem przeciążaniu naukowem. W Anglii uczą się dla życia, w Niemczech uczą się dla szkoły, stąd powiada jeden z uczonych: młodzieniec angielski wie jak żyć, a niemiecki paczy się w pracy i ginie.

Sprawdzono, że w istocie najczęstsza przyczyną samobójstw młodzieży jest obawa kary i złem wychowaniem spaczone zasady dziecka.

Wielki wpływ bez zaprzeczenia na samobójców mają choroby umysłowe, ale nie taki znowu, jakby się zdawało.

Prawda, że ze wzrostem ludności wzrasta i liczba samobójstw, podobnie jak i liczba kalek, chorych itd.

Wogóle jeśli chodzi o właściwe prawdy samobójstw, to bardzo trudno w tej mierze o jakieś pewne statystyczne dane, gdyż chodzi tutaj o przeniknięcie ducha ludzkiego, o rzecz niemożebną do stwierdzenia.

Mała stosunkowo liczba samobójstw wśród Żydów nie dziwi tego, kto zna choć w przybliżeniu ich przepisy i zasady ich wyznania. Życie doczesne jest największem, najwyższem błogosławieństwem dla żyda: z jakimś nieznanym nam chrześcianom, zabobonem i przesądem religijnym, trzymają się oni nie życia, ale długiego życia. Ale jeśli tylko żyd zatraci pamięć na owe tradycyjne błogosławieństwa, które już w Starym Zakonie wszystkie koncentrowały się w długiem życiu na tej ziemi i na tem kończyły to żyd taki jeszcze gorzej od kogokolwiek ulega zbrodni samobójstwa.



Zapatrzona.

Na progu śmierci.

W. Korolenko zebrał w „Russk. Wied.“ szereg autentycznych materyałów, listów i opowiadań, malujących nastroje, jakie przeżywają skazani na śmierć. Dokumenty te działają przygnębiająco prostotą swoją. W pierwszych dniach skazani czują się dobrze, ujawniają nawet pewną wesołość. Po upływie jednak pewnego czasu opanowywać ich zaczyna niepokój.

„Liczyć trzeba życie na minuty, ono krótkie — pisze jeden ze skazańców, przepędzających widocznie ostatnie dni w samotności. — Piszę w tej chwili list ten i boję się, że oto lada chwila otworzą się drzwi celi i nie dokończę go. Jakże strasznie czuję się w tej złowieszczej ciszy! Lada najlżejszy szmer wywołuje przyspieszone bicie serca... Drzwi skrzypnęły... Nie, znowu fałszywa trwoga: to kroki dozorcy. Straszna, martwa cisza dławi mnie. Duszno mi. Głowa mi cieży i opada bezwładnie na poduszkę. A list jednak skończyć

trzeba. O czem to chciałem pisać? Aha, o życiu! Śmiesznie, nieprawda, mówić o życiu, gdy tuż koło ciebie śmierć. Tak, ona niedaleko odemnie. Czuję na sobie zimny oddech jej, straszne widmo jej nie odstępuje mnie ani na chwilę... Wstajesz rano i jak dziecko radujesz się, że jeszcze żyjesz, że cały dzień jeszcze rozkoszować się możesz życiem. Ale za to noc! Ile mąk ona przynosi, opisac trudno... Ale czas kończyć: godzina 2-ga w nocy. Można zasnąć i być spokojnym: dziś już po mnie nie przyjdą".

„Dawno już nie pisałem do was — czytamy w liście innego skazańca. — Fantazyowałem ciągle. nic jednak wymyślić nie mogłem chorym mózgiem moim. Za chwilę położę się w strasznej nieświadomości i to strasznie mnie męczy. Dwa miesiące upływają, jak mnie skazali, i ciągle mnie jeszcze nie wieszają. Za co mnie tak szanują? Może się nademną naigrawają? Może chcą, żebym każdą noc znosił męki w oczekiwaniu śmierci?"

Na gruncie tym dojrzewają myśli o samobójstwie.

Skazańcy wybierają przedewszystkiem śmierć dobrowolną, „kiedy sam zechcę" i, jeżeli można, to powinna ona być inna, nie ta, którą wyznaczy im sąd ludzki. W ciągu roku, objętego sprawozdaniem, jeden że skazańców zażył strychniny i skończył życie w strasznych męczarniach. Drugi pchnął się nożem w serce. W trzeciem wypadku pchnięcie nożem nie było śmiertelne, inny jeszcze poprzecinał sobie żyły szkłem. Było także kilka wypadków otrucia, ale nie śmiertelnych.

Usiłowane samobójstwa te dokonywane były zwykle w oczach reszty towarzyszy. „Śmierć J-wa — czytamy w jednym z listów — wywarła na mnie straszne wrażenie. Olbrzymia siła woli, wstrząsający obraz śmierci. Przed śmiercią był wesół, palił papierosy, rozmawiał, śmiał się. Wzburzenia nie okazywał wcale. Potem wymacał serce, przyłożył nóż jedną ręką, a drugą uderzył: raz! dwa!... A potem powiedział: „Ot, teraz dobrze! Wyjmijcie! I zaczął charczeć, i skonał, nie wydawszy ani jednego głośnego jęku".

A oto obrazek inny, urywek ze sceny ostatniego pożegnania:

Wysokiego wzrostu, z chorobliwie żółtą cerą i gorączkowo byłszczącemi oczyma, stał przy kracie za którą były dwie kobiety. Jedna, zgarbiona, owinięta w chustkę, płakała nieustannie i wycierała oczy końcem chustki. Druga nie płakała wcale: oczy miała rozpalone i suche. To była matka. Nie spuszczała oczu z syna, słów jednak dla niego brakło jej. Takich słów, któreby wzruszyły, złagodziły, pocieszyły, słów, które byłyby na miejscu.

— Jakże się teraz czujesz? — pytała mimo to troskliwie. — Jak zdrowie twoje?

— Co, zdrowie?... powieszą niedługo — odpowiedział ochrypłym głosem syn i usiłował rozśmiać się. Śmiech jednak ugrzązł w gardle. Nastało znowu milczenie.

— A sny straszne miewasz? — pyta z kolei staruszka.

— Oj tak, śnią się rozmaite straszne rzeczy — odpowiedział w zamyśleniu, a po chwili, jakby budząc się, przemówił już żywiej: — Tam u mnie marynarka została... Trzebaby ją sprzedać...

Zaczęli wówić o marynarce i oboje z radością pochwycili temat, tak nie licujący z owym głównym, który ich zajmował. Pożegnanie rychło się skończyło.

I pomyśleć, że podobne sceny rozgrywają się codziennie!

ŻYCIE W MORZU.

Morze ma również swoje góry, doliny, parowy głębokie, napełnione rozmaitym gruzem, szczątkami zatopionych okrętów, gnijącemi trupami ludzi i zwierząt. Jest ono nigdy nienasyconym grobem życia ziemskiego. Tam miliardy ciał zwierzęcych ulegają rozkładowi, a skamieniałe ich resztki tworzą ciągnące się milami ławice. Morze jest widownią nieskończonej, dzikiej i morderczej walki, ojczyzną najdrapieżniejszych zwierząt. Wieczna nienawiść zamieszkuje te chłodne wody, nieustające zniszczenie utrzymuje niezmierne życie świata morskiego. Tam ciągną gromadami lwy, tygrysy i wilki wodne, olbrzymie gady i płazy morskie, pożerające codzień całe rodzaje innych zwierząt i ryb; tam polipy i meduzy zastawiają sieci na niebacznie igrające dokoła zwierzątka kręgowe; tam wieloryb pochłania na jeden raz setki drobnych rybek; tam miecznicy i niedźwiedzie morskie polują na morskie słonie i nosorożce, a pasożytne owady czepiają się płynących powoli spasłych ryb, aby utuczyć się ich słoniną. Wszystko napada i morduje. Nie słychać ani krzyków zwycięstwa, ani jęków zwyciężonych i zabijanych; walka toczy się w tajemniczej ciszy, którą przerywa tylko plusk wody lub drgający ruch ranionego śmiertelnie zwierzęcia.

Niemniej dziwny świat roślinny rozwija się w morskiej głębi. Bo morze posiada także swoje

lasy, pełne wijących się latorośli, niezmierzone łąki, porosłe kwiatami różnej barwy i krajobrazy, którym nie dorównają najpiękniejsze widoki lądowe. Żółty mech wije się dokoła czerwonych krzewów korali, wśród których żegluje rybka, z rozpostartemi, jak żagle okrętu pletwami. Jakież dziwne życie jest w tych krzewach koralowych, jakim oślepiającem blaskiem świecą meduzy na purpurowych wierzchołkach wodnych palm, jakie roje iskier sypią się z niebieskich i żółto-zielonych zarośli trzcinowych, jak gdyby ścigały się pomiędzy niemi miliony świecących robaczków. Jaka obfitość szczególniejszych muszli, raków i różnych postaci ryb, to brylastych, to podobnych do skręconych wiązek trzcin, to do długich wijących się wstęg. Tu one mają kształt okrągły; tam naśladują wieże z zębatemi szczytami, owdzie uzbrojone są w rogi, w długie, wystające kły i piły; tam osłaniają się wypuszczanym z siebie mętnym płynem, tam są gołe z klocowatemi lub podłużnemi głowami; owdzie porosłe włosem i z głowami okrągłemi; tu z wytrzeszczonemi, szklanemi oczyma, świecącemi niepewnym, żółtym półblaskiem; tam w czarnych oczach okazują niemal ludzki rozum.

W niektórych miejscach dno morza zalegają gęste, pierwotne lasy; krzewy tłoczą się na krzewach, gałęzie ich splatają się wzajem, grunt pokrywają drobne małorośla — czerwone ziółka, ciemno-żółte mchy z jaśniejącemi włóknami i liśćmi, rozściełają wzorzysty kobierzec dla żółwi i ślimaków. Pomiędzy niemi, tu i owdzie błyszczą większe krzewy, pozbierane, jak płaszcze. Po skałach wiją się mchy barwy oliwkowej, z których wyziera róża morska, w całej okazałości swoich barw. Z pośród najbujniejszych krzewów morskich podnoszą się lilie morskie o barwach mieniących się, to jak olbrzymie wachlarze, to wyciągając z biegiem wody swoje szerokie i długie na wiele stóp liście. Z pomiędzy drzew jeszcze wyżej, bo na 30 stóp w górę, wznoszą się laminarye, z podobnież wielkiemi liśćmi; obok nich również wyniosłe alarye, których pień u góry rozwija się w olbrzymi, 50 stóp długi liść. Jeszcze wyżej, bo do 70 stóp w górę, sięgają drzewa tych pierwotnych lasów, biorące początek z korzonka, podobnego do korala, z którego wyrasta pieniek, grubości nici, a z czasem rozrasta się w krzew olbrzymi, wypuszczający liście na 50 stóp długie. To są palmy morskie. Takie lasy wyrastają szybko, tworzą w kilka miesięcy ogromne gęstwy, potem nagle więdną i niszczeją, zasiawszy nową roślinność. Po tych lesistych nizinach błąkają się zębate gwiazdy morskie i niekształtne głowacze;



Wiosna.

żarłoczne wilki morskie upędzają się za igrającemi makrelami, lub pasącemi się mchem barwenami; kołysząca się na morskiej palmie, w blasku słonecznym, żmija morska przypatruje się spokojnie tym dokoła uciechom i walkom, lub



U grobowca Kościuszki.

spogląda na pasące się w ustronnych miejscach lasu morskie krowy i konie.

Człowiek oddawna sięgał chciwą ręką do głębi morza po skarby tam nagromadzone, poszukując, z narażeniem życia, pereł, bursztynu, gąbek lub mchu morskiego, z którego popiołu otrzymuje jod i sodę; znajduje nadto na dnie morza wiele innych, cennych dla siebie przedmiotów. Oddawna też usiłował zapoznać się z głębiami morskiemi w celach naukowych. W ostatnich czasach zaczęto urządzać specyalne wyprawy, wymyślono cały szereg przyrządów, ułatwiających badania głębin morskich. Badania te znacznie posuną naprzód wynalazki z zakresu fotografii pp. Rudaux, Boutana i Reigharda. Dwaj pierwsi obmyślili aparat, pozwalający dokonywać zdjęć fotograficznych po przez wodę; Reighard, profesor zoologii w Uniwersytecie w Michiganie, dokonywa zdjęć w wodzie. Zwłaszcza zdjęcia tego ostatniego są dokładne. Zdjęcia takie wymagają zachowania całego szeregu ostrożności i ścisłości technicznych, wymagają też niemałej odwagi, której jednak pionierom wiedzy nie brakuje.



Znak (z Lituanii).

Wpływ powietrza i wody na pogodę.

Pogody dla tego na pewne przepowiedzieć nie można, ponieważ powietrze i ziemia nie są wszędzie równe.

Każda kobieta, która suszy bieliznę wie, że powietrze połyka wilgoć, jeżeli się wywiesi lub wystawi mokre przedmioty na powietrze. Kobieta wywiesza bieliznę po praniu tam, gdzie wiatr najwięcej wieje, aby szybko wyschła, bo wiatr prędzej suszy, aniżeli najlepsze słońce bez wiatru.

Skąd to pochodzi?

To pochodzi stąd, że suchy wiatr lub suche powietrze połyka wilgoć, a więc suszy przedmioty mokre. Jeżeli nie ma wiatru, to powietrze połknąwszy dosyć wilgoci, pozostaje nie ruszając się na

przedmiocie mokrym, i już mało co połyka wilgoci, przedmiot wystawiony na powietrze nie schnie. Lecz skoro powstanie nieco wiatru, powietrze napiwszy się wilgoci z mokrego przedmiotu idzie dalej, coraz nowe powietrze suche przychodzi, połyka wilgoć, i idzie dalej, a przedmiot wnet się wysuszy, bo powietrze wilgoć zje.

Podobnie wiatr wysusza więcej rolę, aniżeli słońce.

Nie ciepło suszy bieliznę, bo kiedy zimą tak zimno, że bielizna na linie zmarznie na róg, to jednak się wysuszy, byle był wiatr, bo wiatr suszy przemykając ciągle nowe powietrze przez bieliznę. Każdy wie, że kiedy się wyszoruje podłogę, to ona najprędzej wyschnie skoro się pootwiera drzwi i okna, aby przewiewało powietrze. Gdyby się napaliło w izbie mocno, toby podłoga tak grędko nie wyschła.

Z tego ta nauka, że powietrze połyka wilgoć, cząstki wilgoci, dla tego ubywa wody ze szklanki, którą postawisz w otwartem oknie. Jeżeli szklanka z wodą stoi długo w oknie, to woda całkiem wyschnie, powietrze i wiatr wypiją wodę.

Lecz co robi powietrze z tyle wody, którą wypije? Powietrze i wiatr lecą przez wodę morską, jeziora, rzeki, źródła, bagna, wilgotne bory a wszędzie zabierają cząstki wilgotne. Gdzie się podzieją te cząstki wodne? Cząstki wodne gromadzą się razem, zgęszczają się, i z tego powstają chmury i obłoki, skąd znowu spadają na ziemię jako mgła albo deszcz, jako rosa, śron, śnieg, grad.

O tych sprawach ludzie mają często dziwne pojęcia, a mylne. Niektórzy myślą, że chmury to jakoby wielki worek, w którym jest deszcz, a czasem z worka wylewa się na ziemię. To zupełnie fałszywie.

Chmury niczem innem nie są jak mgłą w powietrzu, a mgła niczem innem nie jest, jak chmura na ziemi. Można sobie wyobrazić, w jaki sposób powstają chmury i mgła, jeżeli się uważa na samego siebie. Komu zimno w ręce zimą, ten sobie chucha w ręce, które skutkiem tego stają się wilgotne. Chuchnij na szybę suchą, a osadzi się wilgoć na szkle. Skąd to pochodzi? To pochodzi stąd, że powietrze, które wychodzi z ust człowieka, zawiera w sobie cząstki wodne zebrane z krwi w ciele ludzkiem. W powietrzu ciepłem nie widzimy owych cząstek wodnych, ponieważ wyglądają jak powietrze, zaraz jednak stają się widoczne, skoro się oziębią i tworzą mgłę, jeżeli się jest zimą w zimnej izbie. Jeżeli się wtenczas chucha na zimne przedmioty, to tworzą się krople, które nawet marzną, albo przemieniają się w śnieg, a kiedy bardzo zimno, to tworzy się z oddechu lód na wąsach mężczyzn w podróży lub przechadzce. W cieple nie widać części wodnych w oddechu, lecz widać je w zimie jako mgłę we większem zimnie jako kroplę wody, w jeszcze większem jako lód. Podobnie przemienia powietrze części wodne, jakie połyka, we mgłę, deszcz, śnieg, lód, podobnie jako się w to przemieniają części wodne w oddechu człowieka.

Skoro warstwa powietrza zawierająca w sobie cząstki wodne spotka się z warstwą zimniejszą powietrza, to części wodne zaraz się przemieniają w mgłę, czyli w chmurę, ponieważ chmura jest mniej lub więcej gęstą. Można się o tem naocznie przekonać w górach. Z dołu widać, że czubek góry jest w chmurze, skoro się wnijdzie na czubek, to niewidać nic innego, jak tylko mgłę wilgotną. Możeby kto myślał, że chmura tymczasem się rozeszła, kiedy wchodzono na górę, lecz zeszedłszy znowu się widzi chmurne na czubku góry.

Części wodne powietrza tworzą więc mgłę, czyli tworzą chmury, obłoki. Chmura jeszcze nie jest deszczem, zależy to od okoliczności, czy będzie z niej deszcz. Łatwo pojąć, w jaki sposób powstaje deszcz. Jeżeli nad chmurą przechodzi powietrze cieplejsze i suche, to takowe bierze w siebie cząstki wodne chmury, podobnie jak powietrze suche i ciepłe bierze w siebie części mokre z bielizny. Chmury znikają, niebo się wypogadza, nie ma deszczu. Jeżeli zaś z chmurą łączy się powietrze jeszcze zimniejsze, wtenczas cząstki wodne się zgęszczają, z chmury tworzą się krople wody, nie mogą się utrzymać w powietrzu, ponieważ są za ciężkie i spadają na ziemię jako deszcz. Spadając powiększa się kropla wody coraz więcej przez wilgoć w powietrzu będącą, z tego pochodzi, że deszcz pada w postaci wielkich kropli, kiedy z początku u góry wygląda tylko jako mgła. W rzeczywistości krople deszczu na dachu są mniejsze aniżeli te, które spadają na ziemię.

Z teki starego mruka.

Miłość narzeczonej — polowanie na posag.

Miłość narzeczonego — polowanie na męża.

———

Prawda — bóstwo, któremu już nikt nie hołduje.

———

Przyjaźń — ulubiony wyraz większości ludzi.

———

Obyczajność — ubiór, który już dawno wyszedł z mody.

———



RYBAK.

DLA ROZRYWKI

Ciekawe liczby.

Liczyć do biliona. Bilion, jest to milion milionów. Żeby wypowiedzieć „bilion", na to potrzeba zaledwie sekundy; ile jednak potrzebaby czasu, aby do biliona doliczyć?

Odpowiedź: W minucie można doliczyć do 160. Przypuśćmy jednak, że ktoś bardzo biegły doliczyłby w minucie do 200, na godzinę zatem do 12,000, w całym dniu (dzień i noc) do 288,000, w roku 105 120 000. Musiałby przez 9522 lat liczyć dzień i noc bezustannie i jeszcze do biliona by nie doszedł; brakowałoby jeszcze 47 milionów 360 tysięcy.

Pewien bogaty pan kazał kowalowi podkuć konia. Będąc z kowala zadowolonym, postanowił go sowicie wynagrodzić. Kowal, człowiek sprytny, zażądał, aby mu ów pan za przybicie pierwszego gwoździa zapłacił fenyg, za przybicie każdego następnego gwoździa podwójną sumę poprzedniego, a więc: za pierwszy gwóźdź 1 fenyg, za drugi 2 fenygi, za trzeci 4 fenygi, za czwarty 8 fenygów i t. d.

Ile zapłacił ów pan za ostatni gwóźdź, a było ich 24?

Ile zapłacił za wszystkie gwoździe razem?

Odpowiedź: Ostatni gwóźdź (dwudziesty czwarty) kosztował go 8 388 608 fenygów czyli 83 886 marek 8 fenygów; wszystkie gwoździe razem kosztowały 167 772 marki 15 fenygów.

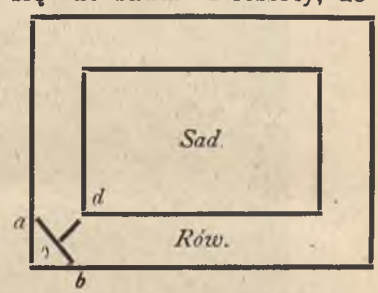
Rybak w kłopocie.

Pewien rybak chciał przeprawić się przez rzekę. Miał z sobą psa, kozę i kosz kapusty. Łódka jednakże była tak mała, że wszystkiego razem przewieść nie mógł, tylko po jednem. Gdyby zabrał ze sobą tylko psa, koza kapustęby zjadła; gdyby zabrał tylko kapustę, a zostawił psa i kozę, pies pogryzłby kozę. To samo zagrażałoby niebezpieczeństwo na drugim brzegu, gdzie także nie mógłby zostawić psa z kozą, ani kozy z kapustą. W jaki sposób więc przeprawił się?

Odpowiedź: Nasamprzód zabrał rybak kozę, następnie wrócił i przewiózł kapustę, poczem zabrał kozę z powrotem na pierwszy brzeg, zostawił ją, a wziął psa, i przewiósł go, o potem dopiero wrócił po kozę.

Dowcipni złodzieje.

Kilku złodziei, dostawszy apetytu na gruszki postanowiło zakraść się do sadu. Niestety, dokoła sadu znajdował się głęboki rów, $2\frac{1}{2}$ metra szeroki, napełniony wodą. Jak tu przejść? Jeden z nich przyniósł dwie deski, każda po 2 metry długa; były więc za krótkie, aby je położyć z brzega na brzeg. Po długich naradach, jeden z nich wpadł na dowcipną myśl, godną jego złodziejskiej głowy. Położył naprzód deskę na poprzeg narożnika, od *a* do *b*, drugą od środku deski na drugą stronę, od *c* do *d*, i tak wszyscy do sadu weszli.



Łamigłówki.

Szarady:

I.

Pierwsze i drugie znajdziesz w głowie,
A tuż przy nim *trzecie i czwarte*,
Lecz w złączonem *jednem słowie*,
Wsie i miasta są zawarte.

II.

Pierwsze na wsi i w mieście bywa wyrabiane,
Na rynku, w składach, w miastach sprzedawane;
Drugie znajdziesz w alfabecie,
Zna je każde szkolne dziecię;
Całość się znajduje w skrytości,
Jest to kącik dla miłości.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 23. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 27.

Rozwiązania

łamigłówek z nr. 23.:

I. **Logogryf:**

1.	**C**	. zapl . . .	**A**
2.	**Z**	. astę . . .	**P**
3.	**Ł**	. ab	**A**
4.	**O**	. ranguta .	**N**
5.	**W**	. ielory . .	**B**
6.	**I**	. . . .	**Ó**
7.	**E**	. dynbur .	**G**
8.	**K**	. ucy . . .	**K**
9.	**S**	. . . .	**U**
10.	**T**	. el	**L**
11.	**R**	. eszk . .	**E**
12.	**Z**	. eno . . .	**N**
13.	**E**	. br	**O**
14.	**L**	. eonida . .	**S**
15.	**A**	. rgostol .	**I**

Człowiek strzela
A Pan Bóg kule nosi.

II. **Szarada:**

Faraon.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. *Ludwika Bojukowa,* Felicya Brachlówna, *Wojciech Brasiński*, Marya Dręgowska, Karol Dziura, Zygmunt Gaudnik, Zofia Halewska, Otylia Kostańska, R. Kulczycki, Helena Myconiówna, Tadeusz Nodzyński, Ks. Wincenty Osikowski, Alina Panasiewiczówna, Stanisław Sierosławski, J. Steindl, Piotr Stolarzewicz, A. Świerkosz, Kazimierz Szeliga, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

pp. Marya Baranowska, St. Bartkiewicz, Tosia Bilska, „Błędne koło“ (pseudonim), Stefcia Jaworowska, K. Kaczmarkiewicz, Fr. Kempski, Karol Kołodziejczyk, Leokadya Konopińska, H. Kornaszewska, *Stefania Łazarewiczówna*, Irena Łuczkowska, Zofia Rolewska, Marya Senatorówna, Bronisława Splitt, Jadwiga Spychalska, Stefan Sroczyński, Zofia Starkówna, Helena Turska, Zosia Wachowska, Bron. Zimniewicz, Oleńka Żurkowska.

Z obczyzny i zagranicy:

pp. Antoni Matuszewski z Kopenhagi, *Ludwik Szymanowski z Krey (Nadrenia)*, Emilia Świątkowska z Monachium, Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia).

Nagrodę otrzymali:

pp. *Ludwika Bojukowa w Bełzie (Galicya), Wojciech Brasiński w Droginii (Galicya), Stefania Łazarewiczówna w Poznaniu, Ludwik Szymanowski w Krey (Nadrenia).*

:: Najwyższy czas ::
odnowić przedpłatę!

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,
wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

Czynność tę wykonał w sposób najnaturalniejszy w świecie z łatwością i swobodą, które zdradzały wprawę mistrza — specyalisty w zakresie zbrodni i kradzieży. Ani jednego słowa, ani jednego ruchu gorączkowego. Zimna krew i zuchwałość. I ja, Arseniusz Lupin, leżałem na ławce, jak mumja w powijakach.

Było się z czego uśmiać. Pomimo całej grozy położenia, oceniałem należycie ironję losu. Arseniusz Lupin powalony jak nowicyusz! Ograbiony jak pierwszy lepszy burżuj — oczywiście bandyta zabrał moją sakiewkę i pugilares! Arseniusz Lupin ofiarą. Arseniusz Lnpin oszukany, pokonany! Co za przygoda!...

Na moją towarzyszkę nie zwracał uwagi. Podniósł tylko torebkę, leżącą na dywanie, wyjął portmonetkę, i wszystkie kosztowności. Otwarła oczy. Drżąca z przerażenia, zdjęła wszystkie pierścionki i oddała je nieznajomemu, jak gdyby chcąc mu oszczędzić wszelkiego trudu. Wziął pierścionki, spojrzał na właścicielkę... zemdlała.

Zawsze milczący i spokojny, nie troszcząc się już o nas, wrócił na dawne miejsce, zapalił papierosa i zaczął oglądać zdobyte skarby. Wydawał się zupełnie zadowolony.

Niestety, ja nim nie byłem. Pomijam dwanaście tysięcy franków, które mi zabrał niegodnie: — była to strata chwilowa, nie wątpiłem ani chwili, że pieniądze te wrócą do mnie w najkrótszym przeciągu czasu, podobnie jak projekty, kosztorysy, adresy, listy kompromitujące i inne ważne papiery, znajdujące się w mym pugilaresie. Główną troską, która mię trapiła w owej chwili była myśl: Co się stanie teraz?

Łatwo pojąć, że spostrzegłem zamęt, wywołany mojem ukazaniem się na stacyi Saint-Lazare. Zaproszony do przyjaciół, którzy mię znali pod nazwiskiem Wilhelma Berlat i dla których podobieństwo moje z Arseniuszem Lupin było tematem przyjacielskich żartów, nie mogłem się przeobrazić tak, jak tego położenie wymagało. Zauważono więc moją obecność na stacyi. Prócz tego widziano jeszcze człowieka — prawdopodobnie Arseniusza Lupin, przeskakującego z ekspresu do pociągu kurjerskiego. Było więc rzeczą nieuniknioną, konieczną, że zawiadomiony telegraficznie komisarz policyi w Rouen, w otoczeniu licznych agientów oczekiwać będzie przybycia pociągu, podda badaniu wszystkich mniej lub więcej podejrzanych podróżnych i dokładnie przetrząśnie wagony.

Wszystko to przewidywałem od samego początku, lecz nie wzruszałem się zbytecznie w przekonaniu, że policya w Rouen nie okaże większej przenikliwości niż policya w Paryżu i że mi się uda wymknąć niepostrzeżenie — czyż nie dosyć byłoby np. przy wyjściu pokazać niedbale kartę deputowanego, która natchnęła zaufaniem kontrolera na stacyi Saint-Lazare? — Lecz od tego czasu ileż się rzeczy zmieniło! Pozbawiono mnie swobody, niepodobna więc było uciec się do zwykłych sztuczek. W jednym z wagonów komisarz odkryje obecność pana Arseniusza Lupin... traf szczęśliwy odda mu go w ręce ze związanemi rękami i nogami, łagodnego jak baranek, zapakowanego, do dalszej drogi. Odbierze zdobycz, jak pakunek z poczty, wyekspedyowany wprost na stacyę, jak np. kosz ze świeżymi owocami lub jarzynami.

Dla uniknięcia tak smutnej katastrofy co mogłem zrobić? Byłem przecież okręcony w moje powijaki!

Tymczasem kuryer pędził ku Rouen, jedynej i najbliższej stacyi... Mijał Vernon, Saint-Pierre.

Inne jeszcze zagadnienie, dotyczące mnie wprawdzie tylko pośrednio, zajmowało mnie niesłychanie. Wchodziła tu w grę ciekawość zawodowa. Jakie zamiary miał mój towarzysz podróży.

Gdybym ja tylko był w przedziale, miałby czas wysiąść w Rouen najspokojniej w świecie. Lecz nasza towarzyszka podróży?! Zaledwie otworzą się drzwiczki wagonu ta cicha i spokojna istota zacznie się miotać, płakać, ryczeć, wołać o pomoc.

Ztąd moje zdumienie. Dla czego jej także nie obezwładnił? Dałoby mu to możność zniknięcia, zanim by spostrzeżono ofiary jego przemocy.

Palił, nieustannie z oczami utkwionemi w przestrzeń, w której chwiały się i migały ukośnie smugi deszczu.

Raz jeden tylko odwrócił się, wziął mój przewodnik i szukał czegoś uważnie.

Towarzyszka nasza w dalszym ciągu udawała zemdlenie, chcąc zapewne uśpić czujność nieprzyjaciela. Lecz tłumione ataki kaszlu, wywołane dymem, zdradzały jej manewr.

Czułem się bardzo źle. Byłem zbity, znużony... Obmyślałem... kombinowałem.

Pont de l'Arche Oissel... kuryer się spieszył, upojony własną szybkością.

Saint-Etienne... Nagle nieznajomy się zerwał i parę kroków ku nam postąpił.

Nowy krzyk pani wice-dyrektorowej i zemdlenie, tym razem nieudane.

Jaki miał cel? Podszedł do okna. Deszcz siekł o szyby z wściekłością. Podniósł szkło i gestem wyraził swe niezadowolenie. Nie miał ani płaszcza ani parasola. Spojrzał na siatkę: leżał tam parasolik zemdlonej. Wziął go szybko. Wziął też mój paltot i włożył go na siebie.

Przejeżdżaliśmy właśnie Sekwanę. Zawinął spodnie, pochylił się, podniósł zewnętrzną zasuwkę drzwiczek.

Czy zeskoczy na tor kolejowy? Przy tej szybkości biegu grozi mu śmierć niechybna. Wpadliśmy w tunel przeprowadzony przez górę świętej Katarzyny. Uchylił drzwiczki i nogą dotknął pierwszego stopnia. Co za szaleństwo!

Ciemność, dym, wrzask — wszystko to razem nadawało jego zamiarom cechę fantastyczną. Nagle pociąg zwolnił biegu. Hamulce oparły się wysiłkowi kół. W chwilę później szybkość stała się normalna... potem zmniejszyła się jeszcze. Niewątpliwie, w tej części tunelu prowadzono roboty przy naprawie toru, i dlatego — od kilku dni — pociągi zwalniały szybkość biegu. Nieznajomy musiał o tem wiedzieć.

Postawił na stopień drugą nogę, potem zeszedł na stopień niższy. Wreszcie zeskoczył spokojnie, nie zapominając o zamknięciu zasuwki i drzwiczek wagonu.

Światło dzienne zabłysło nad białym dymem. Wjechaliśmy w dolinę. Jeszcze jeden tunel. Wreszcie Rouen.

Pani wice-dyrektorowa w jednej chwili odzyskała przytomność. Niezwłocznie zaczęła opłakiwać stratę brylantów. Spojrzeniem błagałem ją o litość: zrozumiała i wyzwoliła mnie od knebla. Chciała też oswobodzić mnie z więzów. Nie pozwoliłem.

— Nie, nie... Wpierw niech je obejrzy policya. Niech zda sobie dokładnie sprawę, z jakim łotrem ma do czynienia!

— Gdybym pociągnęła za dzwonek alarmujący?

— Zapóźno. Należało o tem pomyśleć, gdy mnie dusił.

— Byłby mnie zabił! Czyż nie mówiłam panu, że jedzie tym samym pociągiem! Poznałem go odrazu po podobieństwie z portretem. A teraz znikł... z memi klejnotami.

— Odnajdziemy go. Niech się pani nie boi.

— Odnajdziemy Arseniusza Lupin! Nigdy!

— To zależy od pani. Proszę, posłuchaj mnie pani. Gdy staniemy w Rouen wołaj pani, krzycz, biadaj, jak najwięcej hałasuj. Zbiegną się agenci i urzędnicy kolejowi. Wtedy opowiesz im wszystko, czego byłaś świadkiem... o napadzie na mnie. o ucieczce Arseniusza Lupin. Podaj pani jego rysopis: miękki kapelusz, parasol — pani, paltot szary, wcięty...

— Pański — dokończyła...

— Jakto mój! Nie mój, lecz jego. Ja nie miałem paltota.

— Zdawało mi się, że on też wpadł do przedziału bez paltota.

— Tak... tak... więc może to był jakiś paltot zapomniany w wagonie. W każdym razie wyskoczył z wagonu w paltocie... i to jest rzecz główna... paltot szary, wcięty... niech to pani dobrze zapamięta... prawda, zapomniałem... przedewszystkiem, niech im pani powie swe imię... Stanowisko męża pani podnieci gorliwość tych ludzi.

Rouen. Wychyliła się przez okno. Mówiłem znów głośno, tonem rozkazującym, chcąc, ażeby moje słowa wryły się jej w pamięć.

— Powiedz im pani, że się nazywam Wilhelm Berlat. W razie potrzeby powiedz pani, że znasz mnie osobiście... W ten sposób zyskamy na czasie... zwykle prowadzi się śledztwo przedwstępne... główna rzecz to pogoń za Arseniuszem Lupin... pani klejnoty... Nie omyli się pani, nieprawda? Wilhelm Berlat, przyjaciel męża pani.

— Pamiętam. Wilhelm Berlat.

Już krzyczała, gestykulując żywo. Pociąg jeszcze się nie zatrzymał, a już wpadło do wagonu kilku mężczyzn. Chwila krytyczna nadeszła.

Towarzyszka moja wołała bez tchu:

— Arseniusz Lupin... napadł na nas... ukradł moje klejnoty... Nazwisko moje Renaud... mąż mój jest wice-dyrektorem wydziału karnego... A oto mój brat... Jerzy Ardelle, dyrektor banku w Rouen... panowie go znacie zapewne...

Ucałowała młodego człowieka, który w tej właśnie chwili podszedł ku nam. Komisarz złożył mu ukłon.

Wice-dyrektorowa mówiła dalej, ze łzami:

— Tak, Arseniusz Lupin... gdy ten pan zasnął Arseniusz Lupin rzucił się na niego i ścisnął za gardło... Pan Berlat, przyjaciel mego męża...

Komisarz zapytał:

— Lecz gdzie jest Arseniusz Lupin?

— Wyskoczył z pociągu w tunelu, za Sekwaną.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 25

POWIEŚĆ.

I.

Wszystko się stać może, ale żeby się Andrzej Sanicki miał żenić, to szczyt, co plotka wymyślić zdolna.

A pani Celina?

Gdy ta wieść gruchnęła po mieście, każdy ramionami ruszył — nawet nie zaprzeczał — był to absurd.

Plotka jednak nie cichła, owszem utrwaliła się. Mówiono, że podobno pan Andrzej z ojcem się pojednał, że kawalerskie swe mieszkanie zwija, że ojciec, pan prezes, ustępuje mu pierwsze piętro, w swej kamienicy na Marszałkowskiej, że widziano ich obu, pod rękę, wychodzących od jubilera. Słowem dziwa.

Więc zaczęli znowu wszyscy pytać jednogłośnie:

— Cóż na to pani Celina? Żyje i pozwala?

— Żyje, pozwala i śmieje się! — uspokoił malarz Józef Radlicz, który u pani Celiny bywał co piątek.

Saniccy byli szeroko znani; ojciec powaga prawnicza, syn zdolny technik. Koło znajomych było tedy szerokie — gawędom nie było końca.

Andrzej po śmierci matki z ojcem się poróżnił; doszło do zupełnego zerwania. Jedni mówili, że im poszło o spadek — nieboszczka była bardzo bogatą — drudzy, że już wtedy ojciec wymagał, by syn z panią Celiną zerwał.

Odtąd minęły trzy lata. Ludzie już się oswoili z zerwaniem, z panią Celiną, z trochę hulaszczem życiem pięknego Andrzeja, gdy w tem ta wiadomość! Saniccy znaleźli się znowu na ustach całego miasta.

Doktor Morawski, stary znajomy prezesa, z którym co wieczór grywał w winta i należał do zaufanych, był oblegany przez panie swoje w domu i przez wszystkich znajomych.

Ale doktor był to kpiarz i dowcipniś — każdemu pod sekretem powierzał co innego. Wreszcie oburzył na siebie nawet żonę.

— Od dwudziestu lat nie zdradziłam ani razu twego zaufania — i tak mi płacisz! — wołała rozżalona.

— Od dwudziestu lat ani razu nie powierzyłem ci cudzego sekretu i dlatego żyję w zgodzie z całym światem. Znasz prezesa, bywa u nas — spytaj go sama. Ja nie jestem telefonem!

Spytać prezesa nie było łatwo, bo się od pewnego czasu nie pokazywał, ani u doktorów, ani u innych znajomych. Mówiono, że na wieś wyjechał. Napadły tedy panie na Radlicza, który się z Andrzejem przyjaźnił.

— Naprawdę się żeni? Z kim? Gdzie?

— Daleko. Ze wsi bierze jakąś topolę, czy stokroć.

— Ze wsi, z daleka! Chyba. Tutaj nie mógłby się ożenić — mając taką reputacyę.

Malarz się śmiał, złośliwemi oczyma wodząc po paniach. Nie wierzył temu — ale nie przeczył.

— Poznał ją w karnawale zatem. Kto to być może? Poczęto przypominać wszystkie importowane ze wsi na karnawał panny.

— Niech się panie nie trudzą. Na karnawale nie była — i on jej wcale nie zna.

— Awantura! Więc prezes zwyciężył — postawi na swojem — żeni go! Biedna ofiara.

A Radlicz wciąż się uśmiechał złośliwie — nie wierząc politowaniu.

Że zaś to był piątek, więc krótko bawił, bo mu śpieszno było do pani Celiny na wieczorek.

Pani Celina, młoda rozwódka po bogatym bankierze, mieszkała sama na Erywańskiej i prowadziła dom otwarty, gdzie rolę gospodarza nie tytularnego spełniał od lat pięciu Andrzej Sanicki.

Płeć piękną, oprócz gospodyni, przedstawiało kilka jej kuzynek tylko; za to mężczyźni schodzili się tłumnie. Pani Celina była przepysznie piękną, śpiewała po mistrzowsku, umiała bawić gości rozmową dowcipną — pozwalała się innym bawić swobodnie.

Gdy Radlicz wszedł, zebranie było kompletne.

W gabinecie grano w winta, w salonie deklamował najlepszy komik, a roiło się od dziennikarzy, artystów, ludzi najzdolniejszych i najweselszych, wśród których majestatycznie przesuwała się pani Celina.

— Witam! — podała mu po koleżeńsku rękę. — Ma tam pan co nowego?

— Mam miny ludzi, co się dowiadują o małżeństwie Andrzeja. Ale może to za ostro będzie tak wobec wszystkich?

— Ależ owszem. Przygotowałam panu papier i ołówki — tam pod lampą. Smaruj pan, a żywo!

Śmiała się, ubawiona, prowadząc go do stołu.

— Andrzeja niema? — spytał oglądając się.

— Za wcześnie. Przecie teraz patryarchalnie obiaduje z tatkiem — o szóstej.

I znów się śmiała.

Radlicz witał znajomych — i wnet w koło jego osoby i ołówka zebrała się spora grupa.

Rysował i tekst układał. Wybuchy śmiechu towarzyszyły tej robocie, a komik kończył deklamacyę; do fortepianu usiadła pani Celina, i nie tracąc z oczu towarzystwa, i nie przestając rozmowy z młodym Maksem Unfriedem, brała luźne akordy. W gabinecie rozpoczęła się ostra kłótnia dwóch graczy, z jadalni rozlegał się szczęk kryształów.

W tej chwili za krzesłem Celiny, w drzwiach gabinetu stanął gość ostatni, i rozglądał się po sali.

Był młody, bardzo wysoki i zgrabny. Miał twarz suchą i nerwową, ciemno-blond, kędzierzawą czuprynę nad szerokiem czołem, oczy ocienione mocno, zuchwałe, usta szydercze. Był bardzo przystojny, ale wyraz miał niemiły. Wypisał się na tej twarzy przesyt i duma, gwałtowność żądz, bezwzględność charakteru, ledwie pokryte światową ogładą.

Bardzo elegancki i szykowny, ubrany wykwintnie był to właśnie bohater chwili — Andrzej Sanicki.

Wzrok jego, trochę chmurny, obiegał salę, spoczął wreszcie na pani Celinie i zamigotał ogniem.

W tej chwili ona się obejrzała, jakby poczuła jego spojrzenie, i nie przerywając gry, skinęła mu głową.

Maks Unfried, dobrze wytresowany, wstał natychmiast, podali sobie dłonie, i Sanicki zajął jego miejsce. Chwilę rozmawiali we troje, banalnie, potem Maks dyskretnie zajął się sprzeczką wintową i zręcznie się wycofał.

— Wcześnieś się zwolnił? — rzekła Celina. Muzyka głuszyła rozmowę.

— Za wcześnie. Nie cierpię tych piątków. Czemu nie podają kolacyi? Głowa mnie boli szalenie! — rzucał przez zęby gniewnie.

— Mogłeś się tu nie pokazywać, iść wprost do buduaru!

— Tak, żeby mi tam znowu wpadła Bella, jak wtedy.

— Nie zdziwiła się wcale.

— Ale ja byłem w głupiej pozycyi. Nie lubię tego.

— Widzę, że cię głowa boli, ale to nie z mojej winy — więc mi nie grymaś.

— A komuż? — uśmiechnął się gorąco.

— Tak— to i owszem. Lubię szampan — nie znoszę wermutu. Cóż tam nowego na łonie rodziny?

— Ano — jutro jedziemy!

— Już? Napiszesz do mnie zaraz po przybyciu?

— Naturalnie.

— A nie kłamiesz?

— Dlaczego?

— Może ci się ona podoba.

— To napiszę. Albo to pierwszy raz, że mi się ktoś podobał. Wiedziałaś o tem pierwsza.

— To dobrze. Cóż ojciec?

Andrzej brwi zmarszczył. Twarz jego przybierała wtedy tak twardy wyraz, że pytający radby był słowo cofnąć. Pani Celina poprawiła się.

— Musi być rad, i o mnie raczy zapomnieć.

— On o tobie, ty o nim też zapomnij!

Chwila milczenia. Akordy łączyły się w śpiew. Andrzej rozpogodził twarz. Radby słuchał, ale śmiechy przy stole przeszkadzały mu.

— Co tam Radlicz wyprawia? — spytał niecierpliwie.

— Rysuje karykatury ze znajomych, którzy się dowiadują o twem małżeństwie.

— Zmarnuje się na tych głupstwach próżniak! Nie graj — nie śpiewaj, aż zostaniemy sami.

— Jesteś dzisiaj, jak pokrzywa. Boję się ciebie!

Spojrzała na niego zalotnie. Z pomiędzy purpurowych warg błyszczały zęby — oczy pałały.

Wstał gwałtownie — spojrzał po ludziach.

W tej chwili lokaj otworzył drzwi jadalni, oznajmili kolacyę, uczynił się rumor, Andrzej, już zupełnie correct, począł się witać na wsze strony.

Było jednak coś takiego w nim, że go nikt nie spytał o osobiste sprawy, nikt wzmianki nie uczynił, nie zażartował, nawet fertyczna i śmiała Bella, wesoła rozwódka, która się nikogo i niczego nie lękała, której dowcipy były ostre, zachowanie swobodne, i z którą Andrzej był na stopie koleżeństwa.

Po kolacyi goście zaczęli się przerzedzać, gracze kończyli rachunki, panowie odprowadzali panie, świece dopalały się w kandelabrach, zegary biły późne godziny. Jak zwykle, pozostali najdłużej: Radlicz i pani Bella.

Pani Bella zasiadła do fortepianu i poczęła swawolne francuskie szansonetki, którym malarz wtórował. Pani Celina otworzyła drzwi na balkon. Kłąb świeżego powietrza wpadł do salonu i począł zganiać kłęby dymu tytoniowego.

Na balkon za panią Celiną wyszedł Andrzej. Na ulicy było już pusto — naprzeciw, w kamienicy wszystkie okna już ciemne. Nareszcie byli sami, bo o tych dwoje w salonie się nie troszczyli.

Pani Bella grała hałaśliwie, uszczęśliwiona bezwstydem piosenek, Radlicz przywiózł świeżo z Paryża nowy ich zapas...

— Musi mi pan tekst przepisać, ten o rakach szczególnie — zawołała, śmiejąc się jak szalona. — Chodźmy już! Obowiązek spełniony!

— Może dziś mam przepisać, jeżeli wolno odprowadzić — rzekł.

— A naturalnie, dziś, dziś! — odparła, zbierając rękawiczki.

Lokaj za nimi zamknął i zaryglował drzwi i gaz w przedpokoju zgasił. Oni szli nucąc na schodach. Ulice były puste i głuche, ruszyli pod rękę, pieszo, na Mazowiecką.

— Ciekawam, okropnie ciekawam epilogu... tam — rzekła pani Bella — Cesia głupstwo robi, że to lekko traktuje!

— Bo może nie bardzo dba — zaśmiał się Radlicz.

— Gorzej, bo zanadto sobie wierzy. Mówiłam jej: strzeż się sakramentu! Wyśmiała mnie. A no, zobaczymy.

— Ja tylko ciekawym argumentu, jakiego prezes użył, by syna do małżeństwa doprowadzić, a tego właśnie nikt się nie dowie.

— Ba, Cesia nawet nie wie. No, tej młodej pani życia nie zazdroszczę, jeżeli będzie kochała.

— Czyż koniecznie ma kochać męża?

— Takie panny ze wsi są zwykle karmione chlebem czarnym i... cnotami. Ogromnie się cieszę z tego skandaliku... Odegramy w nim rolę — zobaczy pan! Czy aby ładna będzie?

— Nawet tego pani Celina nie ciekawa. Wspomniałem — ramionami ruszyła. Co prawda nawet Andrzej tego nie wie.

— Cesia jest dziwnie lekkomyślna w tym razie. Zdradzić można dla najbrzydszej... żony, a najpiękniejszą dawną dla najszpetniejszej nowej!

— „W miłości niema zdrady, jest tylko wieczny ruch“ — zadeklamował Radlicz, dzwoniąc do bramy.

I tak tych dwoje najzaufańszych, niewiele więcej wiedziało, od reszty znajomych — nie wiedziała też słowa zagadki pani Celina.

Przed kilku miesiącami, bez żadnego wstępu, bez wahania, bez widocznej zmiany usposobienia, Andrzej pewnego wieczoru rzekł spokojnie:

— W tym roku mam się ożenić.

Ona, zawsze panująca nad sobą, zawsze przytomna, rzuciła obojętnie:

— Tak? A wybór uczyniony?

— Ja wybrałem raz na zawsze — ciebie. Żonę — wybiera mi ojciec.

— Ojciec. Więc pogodziliście się?

— Nigdyśmy się nie kłócili. Ludzie o tem mówili, my nigdy! Naszych spraw rodzinnych nie powierzamy nikomu. Mówiłem ci, że może na uczucie nasze przyjść czas próby! Przyszedł — ja się nie boję — a ty?

Jam ci nigdy nie odbierała swobody. Byliśmy względem siebie szczerzy i prawi. Nie robiłam ci nigdy scen ani piekła w domu. Będziesz tu zawsze panem i ukochanym, dopóki zechcesz!

— Dziękuję ci i całem życiem zapłacę.

— Nie masz za co dziękować i płacić. Wszystko jest twoje, i nie ja ci w czemkolwiek się sprzeciwię, bo przecie czujemy jedno za drugie. Któż jest tedy ona?

— Nie znam, nie wiem, nie ciekawym. Ojciec wybrał.

— Ale się zgadzasz? Dobrze jest wiedzieć, z kim się będzie miało do czynienia. Żyć przecie będziesz pod jednym dachem, obcować codziennie? Brr!

Wzdrygnęła się i pobladła, ale zapanowała znowu nad sobą i rzekła poważnie:

— I jakże i ty potrafisz jej kłamać uczucie! Po co? Dlaczego?

— Jam nigdy nie kłamał i nie skłamię.

— Więc któraż się zgodzi, prawdę wiedząc.

— To rzecz ojca. On wie, jakim jestem, i że ustępstwa żadnego od honoru nie uczynię.

— Szkoda mi ciebie. Bardzoś młody i niedoświadczony, gdy tak lekko do tego przystępujesz.

— Czy lekko, to ja wiem, alem nie zwykł się uchylać od żadnego zobowiązania. Byłem może kiedyś lekkomyślny, dziś nie. Ale to nasze rodzinne sprawy. Niema nad czem rozpaczać, stało się!

Pani Celina zrozumiała, że temat był wyczerpany, że ani słowa więcej rzec nie można, że teraz trzeba użyć całej delikatności i sprytu, by go nie urazić, by wpływ utrzymać, bardziej wzmocnić. Znała go doskonale, od wielu lat, wiedziała, co czynić. Te dwa miesiące uczyniła mu jedną pieśnią rozkoszy i miłości.

W dzień wyjazdu prezes trochę niespokojny szedł do syna. Nie sprzeciwiał się Andrzej nigdy, tylko termin odkładał, przedłużał, zwlekał.

Zastał go zajętego pakowaniem rzeczy — i odetchnął.

— Zatelegrafowałem o konie! — rzekł.

— Gotów jestem! — odparł syn.

Zmierzyli się badawczym wzrokiem i prezes dodał po francusku z naciskiem.

— Ufam ci zupełnie, że dotrzymasz słowa.

— Niezawodnie. Tylko ojciec wie warunki.

Uśmiech dziwny przemknął przez oczy prezesa.

— Wiem! — odparł. — Bądź spokojny. Nie przegrywałem nigdy spraw, jeszcze bardziej skomplikowanych.

Andrzej brwi zmarszczył. Ten uśmiech go gniewał i drażnił.

— Kiedy i gdzie jedziemy? — zagadnął szorstko.

— Za godzinę — nadwiślańską, niedaleko, ośm stacyi.

— Mam urlop z biura na trzy dni.

— Wystarczy — na pierwszy raz.

— Jakto? Na pierwszy raz? Więc ileż razy myśli ojciec mnie tam wozić?

— Ja tylko ten raz. Potem będziesz jeździł sam. Chyba chcesz się zaraz oświadczyć.

— A naturalnie.

— Tyleś czasu odkładał. Myślałem, że zechcesz jeszcze przedłużyć swobodę.

— O, ja jej wcale tracić nie zamierzam i potem. Wolę sprawę co rychlej załatwić.

— Jak sobie chcesz. Jedźmy tedy. Po drodze opowiem ci, gdzie jedziesz i do kogo.

Andrzej nie zdawał się być ciekawy. Wsiedli do powozu i ruszyli. Mieli mnóstwo znajomych i co chwile spotykali kogoś. Gdy po raz może dziesiąty uchylili kapelusza, młody człowiek wybuchnął:

— Mógł ojciec na tę śmieszną wyprawę wybrać nocny pociąg. Każdy, kto na nas spojrzy, nawet nie ukrywa uśmiechu. Dostaniemy się na języki wszystkich dowcipnisiów i będziemy niezawodnie figurowali w niedzielnym „Kuryerze Świątecznym!“

— Nie możemy tam przyjechać wśród nocy przecie. Ośm stacyi kolei, potem dziesięć wiorst końmi. Zresztą, mój drogi, nie pierwszy to raz będą mówić o tobie. Nie żyłeś, jak fijołek i lilia.

— Ale nie byłem śmieszny. A! żebyż to się raz skończyło. Czy ta panna wie, w jakim celu przyjeżdżamy?

— Wie. Ojciec jej powiedział, i ja się z nią rozmówiłem.

— Czy to być może?!

— Tak.

— I zgadza się? Słodkie musi mieć życie w domu!

Prezes nic nie odrzekł, bo byli już na dworcu. Załatwił bilety sam, i dopiero, gdy wsiedli

do wagonu i pociąg ruszył, zapalił cygaro, wygodnie się rozsiadł, i począł mówić, jakby przerwy między zapytaniem syna a odpowiedzią nie było.

— Zapewne, że żywot ma nie słodki. Ojciec jej przed pięciu laty ożenił się po raz wtóry z panią Tomkowską, bardzo bogatą wdową, po tym Tomkowskim, u którego trzymał w dzierżawie folwark i zarządzał jego interesami. Głupstwo palnął, z płatnego oficjalisty przeszedł na bezpłatnego. Po co? sam nie wie! Proponowano mu świetne posady, bo człowiek to bardzo zdolny, uczciwy i fachowiec. Ano — przyznał mi się, że żal mu było rzucać swą pracę innemu. Przywiązał się do tych dóbr, upoiła go złuda dziedzictwa — i poszedł ze służby w niewolę. Ale ty go znasz nawet, bywa przecie u mnie. Kolegowaliśmy w szkołach, i choć się rzadko widujemy, przyjaźń pozostała. Nazywa się Szpanowski.

— Taki suchy, śniady brunet, opalony, jak cegła? — wtrącił Andrzej.

— Ten sam. Był żonaty z Ostrowską, daleką naszą krewną. Umarła ona w dwa lata po ślubie, zostawiając córkę Kazię. Ta Kazia — to ona!

Pomimo woli Andrzej słuchał uważnie. Prezes sięgnął do pugilaresu i podał mu fotografię.

Była to fotografia z małego miasteczka, nędzna blada, a wyobrażała dziewczynę źle ubraną i niezgrabną, stojącą sztywno, przy tekturowej, obrzydliwej dekoracyi fotografa jarmracznego zapewne.

Była chuda, śniada, bez wyrazu na twarzy ściągłej i prawie dziecinnej. Stała tak sobie, bez żadnej pozy, z obwisłemi ramiony, patrząc wprost przed siebie. Oczy miała ciemne i łagodne, i gruby warkocz przerzucony przez ramię.

Andrzej popatrzał, i obojętnie fotografię, zwrócił.

— Cóż? Jakże ją znajdujesz — spytał prezes.

— Okropna!

— Takąś chciał mieć. Odpowie wszelkim twym wymaganiom. Będzie spokojna, poważna, dobra i cicha. Zgadza się na wszystko, zrozumie swe położenie, i nigdy poza granicę nie wyjdzie. Dla ciebie będzie wygodna, a ja ją będę okrutnie lubił!

Andrzej aż się zdziwił zapałowi ojca. Nie słyszał nigdy, by prezes nad kimś się unosił. Uśmiechnął się lekko.

— Widzę, że ojciec już ją dobrze zna.

— Ano — tobie się zdaje, że ci obojętne, kogo w dom wprowadzisz. Dla mnie nie! przyznaję. Myślisz, żem się bał twego romansu — nie — bałem się, byś nie wybrał panny na wydaniu, w karnawale. Teraz jestem rad i spokojny.

Andrzej ramionami ruszył; coś w tonie ojca go gniewało. Była to wciąż pewność jurysty, który wie, że sprawę wygra.

— To dziwne jednak, że tego ideału dotąd nikt ojcu nie sprzątnął — wtrącił ironicznie.

— Dziewczyna ma zaledwie dwadzieścia lat i ani grosza posagu. Hodowała się na folwarku dzierżawnym, w kącie głuchym, w pracy od dziecka. Ojciec ją oddał do klasztornej pensyi w Galicyi, ale po dwóch latach odebrał, bo się obejść bez niej nie mógł. W rok potem się ożenił, i razem z nim poszła na bezpłatną służbę do Tomkowskiej. Jakeś — rzekł — słodki ma żywot — od czasu zwaszcza, gdy się tam urodziła córka! I ojciec i ona cierpią jedno za drugie. On na wszystko się zgadza, byle na dziecka poniewierkę nie patrzeć, ona gotowa na jeszcze gorszą dolę, byle on nie widział jej utrapień! I tak mój drogi, niema trudności nie do rozwiązania. Myślałeś, że dasz mi zagadkę bez odpowiedzi. Ano — przegrałeś raz pierwszy.

— Jeszcze nie po ślubie! Jeszcze ja się rozmówię — mruknął Andrzej.

— Nie powiesz jej więcej niż ja! Zresztą, o co się spierać? Lepszej nie znajdziemy nigdzie. Przyjdzie czas, gdy mi podziękujesz.

Syn począł dobywać gazety poranne. Po chwili obadwaj zagłębili się w czytaniu. Temat był wyczerpany.

Na świecie był kwiecień; pola jeszcze szare, pługami poorane, gdzieniegdzie ledwie zielenieć poczynały. Pociąg mijał łany dobrze uprawne, porządne dwory ludzi pracujących na roli, gaje i sady kwitnące. Przez okna wagonu wpadał kłębami świeży podmuch wsi, więc prezes rychło gazetę rzucił i rozglądał się po okolicy.

— Mało znasz wieś! — rzekł do syna. — Zobaczysz ją z najlepszej strony, bo i pora urocza, i Gurów — dwór Tomkowskiej, t. j. Szpanowskich, jest jednym z najlepszych gospodarstw w kraju. Tam już nie sielanka i nie dyletantyzm, to już fabryka rolna, bardzo rozumnie prowadzona. Nie znam się na tem, ale chylę głowę, bom widział rachunki Szpanowskiego. Zdumiewające ma rezultaty.

— To ten Gurów, skąd Jasiński ma konie?

— Ten sam. Stadninę mają jedną z pierwszych w kraju. Pokaże ci ją Szpanowski, bo ma słabość do koni.

— Więc zabawimy ile? — zagadnął Andrzej niespokojnie.

— Ano — nie mniej, jak do jutra wieczór. Zdaje mi się, że to niezbyt długo.

Andrzej powrócił do gazety, ale czytał nieuważnie. Pomimo wszystkiego ta wyprawa, im bliżej celu, tem gorzej go drażniła

— Jeśli ojciec już grunt przygotował, to ślub może się odbyć jeszcze w maju! — rzekł po chwili, zapalając papieros i mnąc nerwowo gazetę.

— Naturalnie. Im prędzej, tem lepiej. Dom mamy urządzony, papiery w porządku.

— I znajomych mniej latem. Mam nadzieję, że do jesieni wyczerpią nasz temat i znajdą nową pastwę dla plotek.

— Możecie wyjechać gdzie na lato!

— Razem! Dziękuję! — oburzył się Andrzej, i posępnie umilkł.

Przypominał sobie zeszłą wiosnę, którą spędził z panią Celiną na Capri. Parę miesięcy marzeń, szczęścia, śpiewu i rozkoszy. Teraz, jakże trudno będzie idyllę tę powtórzyć. Niepodobna!

A pociąg pędził i pędził, coraz bliżej złowieszczego celu. Odebrano już bilety, prezes prostował zesztywniałe członki, i także niespokojny, chodził od okna do okna.

Andrzej przetarł dłonią czoło i oczy, wzdrygnął się i z pod brwi spojrzał na ojca.

— Właściwie — matka mi dała termin do października! — rzekł nieśmiało. — Dlaczego się spieszymy tak bardzo?

— Dlatego, żeś się zgodził na to sam przed dwoma tygodniami — i ja zaangażowałem swoje słowo — odparł spokojnie prezes.

Syn głowę spuścił. Był to ostatni protest.

— Pociąg zwalniał już — i zatrzymał się wreszcie.

Prezes przez okno się wychylił i kiwnął głową służącemu w liberyi.

— Konie są? — Weźcie rzeczy — rzekł.

Sługa, niemłody już człowiek, i snać rzeczy świadomy, spojrzał ciekawie na Andrzeja, zbierając tłomoczki.

— Jest co w brankardzie do odebrania? — zagadnął.

— Nie. Państwo w domu?

— Czekają z herbatą.

Przeszli przez stacyę oglądani ciekawie przez tłum żydów i gawiedź rozmaitą. Zdawało się Andrzejowi, że i tu widzi miny dwuznaczne. Rozdraźnienie jego rosło.

Gdy wyszli na podwórze, już wolant gurowski stał przed gankiem. Cztery siwki bardzo rasowe, stangret z wąsiskami jak wiechy, powozik — jak z igły. Gawiedź poczęła im z drogi się usuwać, z widocznym szacunkiem. Andrzej odetchnął. Ruszyli. Minęli miasteczko liche — i wydostali się między pola. Słońce chyliło się ku zachodowi. Ludzie kończyli roboty, od gajów i sadów szły cudne wonie.

Andrzej się uspokajał spokojem i pogodą otoczenia.

Stać się to musi, dał słowo matce, teraz ojcu, życie się jakoś urządzi, wszyscy się przecie żenią, a iluż z miłości! Nie wyglądają oni jednak jak ofiary i męczennicy.

Drogą przed nimi jechał parobczak z galicyjska przybrany, na drabiaku, zaprzężonym w spasłe dwa siwe mierzyny. Jechał i okrutnie śpiewał. Stangret krzyknął, by ustąpił, ten ino batem śmignął i dalej gnał z góry.

I słychać było jak z fantazyą dalej śpiewał:

Siwy konik, siwy — malowane siodło,
Jakież mnie też licho do dziewczyny wiodło?

Minęli go przecie, i stangret mu batem pogroził. A ten się roześmiał tylko, błyskając zębami białemi i oczyma, jak bławatki. Prezes do kieszeni sięgnął i rzucił mu rubla.

— To z Gurowa człowiek? — spytał stangreta.

— Nasz fornal, Stacho — co masło do kolei dostawia — odparł służący. Pan go z Galicyi wyrostkiem przywiózł! Tyle lat służy, to się rozbestwił!

— To już na gurowskich jesteśmy gruntach?

— A już — od lasu graniceśmy minęli.

Stacho fornal na boczną drogę skręcił, do folwarku, który czerwienił swymi murami wśród pustych pól.

Ciąg dalszy nastąpi).

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

— Panie Macieju — rzekł do niego rano wszedłszy — mam do was prośbę, gdybyście mi trochę pomódz chcieli, zrobilibyśmy coś, spodziewam się, miłego generałowi.

— Z duszy, z serca, wszak wiesz, że ja dla niego dałbym się w kawałki posiekać — tylko powiedz.

— Jutro wigilia Bożego Narodzenia.

— Prawda! wigilia! mój Boże, u nas to wielkie święto — ale jak się nam tu do niej przybrać?

— Ja wszystko urządzę, mam już zamówione i ryby morskie i z Delawary, jaja żółwie... przyprawy, murzyn nasz zgotuje, ja mu rozpowiem o ile potrafię o szafranie i innych sosach. Będzie to piąte przez dziesiąte, ale zjemy na sianie, po polsku i przy gwiazdach... kraj się nam nasz przypomni.

— A! niech ci Bóg płaci! myśl złota... Ale zkądże ty opłatek weźmiesz? — zawołał Rogowski załamując ręce — tu w Trenton ani księdza katolickiego, ani nic podobnego do opłatków nie ma. A bez opłatka znowu co to będzie za wilia! nie ma wilii bez niego, to darmo! Opłatek się piecze...

— Wiem nawet jak się piecze — rzekł Karól — bom nieraz widział u nas jak kapelan piekł opłatki, ale przyboru nie mam. To bieda w istocie... bo opłatka nie wiem czy dostanę.

— A cóż po rybie z szafranem, jeśli nie będzie opłatka! — dodał Rogowski.

Na próżno łamali głowy.

Zgodzono się wszakże, bądź co bądź, zastawić wieczerzę z ryb, na sianie, w kącie snop polski...

Snop! miły Boże... skąd tu nawet było wziąć w Ameryce ów snop polskiego zboża. Gdzie te co rosną na naszych łanach? żyto, przenica, jęczmień, owies, wszystko aż do lnu i tatarki, bo w snopie na wiliją nic nie powinno braknąć.

A im tego wszystkiego potrzeba było, by polską macierz przypominało wygnanym jej dzieciom.

Karol do spisku wciągnąwszy Rogowskiego, latał jak opętany, posyłając starego murzyna, gniewając się na jego omyłki, ale na włos niechcąc ustąpić ze swojego planu.

Rogowski nie brał nic na siebie, oprócz, że miał utrzymywać w niewiadomości do ostatniej godziny Pułaskiego i odciągnąć go, gdy przedwcześnie do wielkiej izby na dole chciał zaglądać.

Karol zresztą wszystko wziął na barki swoje. Zdawało mu się, że to przypomnienie ziemi rodzinnej, religijnego obrzędu, dnia w którym w Polsce z jej zboża upieczonym opłatkiem cały lud się łamie jak na owych Agapach katakumbowych... wleje pociechę w smutną duszę wodza.

Dom, w którym stali razem był dosyć obszerny, ale prosty. Na piętrze mieścił się Pułaski we dwóch pokojach, z których jeden był sypialnią i drugi służył do przyjęcia i pracy. Jadalny dzielił je od dwóch izb, w których mieszkali po żołniersku, prawie bez sprzętów, dwaj towarzysze nieodstępni, Karol i Rogowski.

Obszerna izba na dole służyła na skład rzeczy, pomieszczenie przybywających posłańców, i różne nieprzewidziane wypadki. Raz nawet była więzieniem dla wziętych w niewolę Anglików dopóki ich nie wymieniono.

W tej izbie oczyszczonej, wyświeżonej na prędce, przybranej, Karol urządzić miał swą tajemniczą wieczerzę. Murzyn stary, osiwiały, słynny ze swej sztuki kucharskiej, równie przynajmniej jak ze swej słabości dla rumu — służył za jedynego wykonawcę. Obietnica rumu i sowitej nagrody czyniła go nader usłużnym i uprzejmym. —

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Ale wy, dobrze ją widzieliście; nieprawdaż Morandzie? nieprawdaż Genowefo? — rzekł Maurycy podwójnie uszczęśliwiony, raz z widowiska jakie nastręczył swym przyjaciołom, drugi raz z przyjemności jaką sprawił tak małym kosztem nieszczęśliwej uwięzionej.

— O! tak, tak — mówiła Genowefa — doskonale ją widziałam, i teraz, choćbym sto lat żyła, ciągle ją widzieć będę.

— I jakże ją znajdujesz?

— Bardzo piękną.

— A ty, Morandzie?

Morand załamał ręce nic nie odpowiadając.

— Powiedzże mi — spytał Maurycy Genowefy po cichu — czyliżby Morand miał się kochać w królowej?

Genowefa zadrżała, ale powstrzymując się natychmiast, rzekła śmiejąc się także:

— Na honor, to coś niby tak wygląda.

— I cóż! czy nie powiesz Morandzie, jak ją znalazłeś? — nastawał Maurycy.

— Znalazłem ją bardzo bladą — odrzekł Morand.

Maurycy wziął znowu Genowefę pod rękę i sprowadził ją na dziedziniec. Na ciemnych schodach zdało mu się że Genowefa całuje go w rękę.

— I cóż to ma znaczyć Genowefo? — spytał Maurycy.

— To znaczy mój Maurycy, że nie zapomnę nigdy, iż dla kaprysu mojego narażałeś własną głowę.

— O! — powiedział Maurycy — przesadzasz Genowefo, wiesz, że między mną a tobą nie wdzięczność ale inne uczucie miejsce mieć powinno.

Genowefa lekko mu rękę ścisnęła.

Morand chwiejąc się szedł za nimi.

Przybyli na dziedziniec. Lorin przybył rozpoznać oboje odwiedzających i wypuścił ich z Temple.

Genowefa nim pożegnała Maurycego, zmusiła go, aby przyrzekł, że nazajutrz będzie u niej na obiedzie.

VIII.

Simon oskarżyciel.

Maurycy, z sercem niebiańską prawie przepełnionem radością, wrócił na swe stanowisko: zastał starą Tison płaczącą.

— Cóż ci to jest, matko? — spytał.

— Wściekła jestem — odpowiedziała ceklarka.

— A to dla czego?

— Boś niesprawiedliwy dla biednych ludzi tego świata.

— Ależ przecie...

— Jesteś bogaty, jesteś mieszczaninem; przybywasz tu na jeden dzień tylko, a wolno ci sprowadzać ładne kobiety co dają bukiety Austryaczce; mnie zaś, która ciągle gnieżdżę się w tym gołębniku, nie pozwalają widzieć mej biednej Heloizy.

Maurycy wsunął jej w rękę dziesięcioliwrową asygnatę.

— Masz, moja poczciwa Tison — rzekł — weź to i nabierz odwagi.

— Eh! dla Boga! przecież Austryaczka nie zawsze żyć będzie.

— Dziesięcioliwrowa arygnata — mruknęła ceklarka — grzecznie to z twojej strony. Ale wolałabym raczej kawałek papieru na papilot dla mojej córki.

To co powiedziała, usłyszał wchodzący w tej chwili Simon, widział jak ceklarka chowała do kieszeni wziętą od Maurycego asygnatę.

Wspomijmy teraz, w jakiem usposobieniu umysłu zostawał Simon.

Przybywał on z dziedzińca na którym spotkał Lorina. Między tymi dwoma ludźmi zbyt wyraźna panowała nienawiść, będąca skutkiem gwałtownej sceny, o której już wspomieliśmy naszym czytelnikom i skutkiem różnicy rasy.

Simon był brzydki; Lorin zaś przystojny. Simon był brudny; Lorin czysto wyglądał. Simon był to republikanin fanfaron; Lorin zaś należał do rzędu patryotów gorliwych, którzy dla rewolucyi prawdziwe czynili ofiary; a przytem, skoro przychodziło do pięści; Simon czuł instynktownie, że pięść eleganta równie gładko jak dłoń Maurycego byłaby mu wymierzyła karę.

Skoro więc spostrzegł Lorina stanął jak wryty i zbladł.

— Znowu ten batalion dziś na warcie — mruknął.

— I cóż stąd? — spytał jeden grenadyer któremu nie podobała się taka apostrofa — sądzę, że tak dobry jak każdy inny.

Simon wydobył ołówek z kieszeni swego kaftana i udawał że coś zapisuje na kawałku papieru równie prawie czarnym jak jego ręce.

— O! ho! — odezwał się Lorin — nauczyłeś się widzę pisać, Simonie, odkąd zostałeś nauczycielem Kapeta? Patrzcie no, obywatele. Daję słowo on coś notuje; ah! to Simon, dostrzegacz.

Młodzi gwardziści, prawie wszyscy mniej więcej naukowi, głośnym wybuchli śmiechem, a nędzny partacz, że tak powiemy, zgłupiał prawie.

— Dobrze, dobrze — rzekł, zgrzytając zębami, cały blady ze złości — mówią żeś wpuścił obcych do wieży, i to bez pozwolenia gminy. Dobrze, dobrze, każę ja spisać z ciebie protokół urzędnikowi.

— Przynajmniej ten urzędnik pisać umie — odpowiedział Lorin — bo to Maurycy, znasz go, dzielny Simonie; Maurycy żelazna ręka, czy przypominasz sobie?

W tej chwili właśnie wychodził Morand z Genowefą.

Na ich widok, Simon rzucił się do wieży i jak powiedzieliśmy, spostrzegł że Maurycy dla pocieszenia starej Tison, dał jej dziesięcioliwrową asygnatę.

Maurycy nie zważał nawet na tego nikczemnika, którego zresztą omijał zdala ilekroć znajdował go na swej drodze, jak się omija jadowitego lub obrzydliwego węża.

— No proszę! — rzekł Simon do starej Tison, ocierającej oczy fartuszkiem — jak uważam obywatelko, ty koniecznie chcesz podłożyć głowę pod gilotynę?

— Ja! — przerwała Tison — a to dla czego?

— Bierzesz pieniądze od urzędników i wpuszczasz arystokratów do Austryaczki?

— Ja! — powiedziała stara Tison — milcz lepiej, głupcze.

— Zanotuje się to w protokóle — rzekł Simon z nadęciem.

— Dajże pokój — są to przyjaciele urzędnika Maurycego, jednego z najgorliwszych patryotów.

— Są to spiskowi, mówię ci; zresztą gmina dowie się o tem i sama rzecz tę rozstrzygnie.

— Cóż to, chciałbyś mnie denuncyować, ty szpiegu niegodziwy.

— Wybornie, tylko się sama nie denuncyuj

— Ja? a cóż chcesz abym denuncyowała?

— To co się tu stało.

— Ale kiedy nic się nie stało.

— Gdzie byli ci arystokraci?

— Tam, na schodach.

— Podczas gdy wdowa Kapet szła na górę?

— Tak.

— I mówili z nią?

— Parę słów.

— Parę słów, a widzisz; z resztą tu czuć arystokracyą.

— To jest, tu czuć goździk.

— Goździk! jaki goździk?

— Bo obywatelka miała pachnący bukiet.

— Jaka obywatelka?

— Ta co przypatrywała się przechodzącej królowej.

— A widzisz, mówisz królowej, matko Tison; to przestawanie z arystokratami gubi cię. Ale! po czemże ja to stąpam? — mówił dalej Simon schylając się.

— Ah! doprawdy — rzekła stara Tison — nastąpiłeś właśnie na kwiatek, na goździk; wypadł zapewne z rąk obywatelki Dixmer, podczas gdy Marya Antonina wyjmowała jeden z jej bukietu.

— Wdowa Kapet wzięła kwiat z bukietu obywatelki Dixmer? — powiedział Simon.

— Tak, ja to sam jej go dałem, czy słyszysz? — groźnym głosem zawołał Maurycy, który zniecierpliwiony od kilku już chwil słuchał tej rozmowy.

— Dobrze, dobrze, widzę co widzę i wiem co mówię — mruknął, Simon trzymając ciągle w ręku goździk zdeptany nogą.

— A ja — przerwał Maurycy — wiem coś także i powiem ci że nie masz tu w wierzy nic do czynienia i że twoje katowskie stanowisko jest

tam przy małym Kapecie, którego jednak dziś nie wybijesz, bo ja tu jestem i bronić go będę.

— Ah! grozisz mi, nazywasz mnie katem — wrzasnął Simon gniotąc kwiat palcami — ah! obaczymy czy wolno arystokratom... O! ho! co to jest.

— Co? — spytał Maurycy.

— To co tu czuję w tym goździku. Ah! ah!

I w oczach zdumiałego Maurycego, Simon wyjął z kielicha kwiatu mały papierek jak najstaranniej zwinięty, który sztucznie włożono w środek jego.

— Dla Boga! — zawołał z kolei Maurycy — co to jest?

— Dowiemy się, dowiemy zaraz — rzekł Simon przystępując do okienka. — Ah! twój przyjaciel Lorin twierdzi, że nie umiem czytać, otóż! przekonasz się.

Lorin oszkalował Simona, umiał on czytać wszelki druk a nawet i pismo, skoro było wyraźne i wielkiemi literami skreślone. Ale na tej karteczce literki tak były drobne, że musiał wezwać pomocy okularów. Położył więc kartkę na oknie i zaczął szukać po kieszeniach, lecz że w tej chwili obywatel Agrikola otworzył drzwi od przedpokoju, umieszczone wprost naprzeciw okna, wiatr więc zdmuchnął jak piórko ten lekki papierek, w skutek czego gdy Simon po kilkochwilowem szukaniu okularów, wydobył je nakoniec i włożył na nos, obrócił się i nadaremnie szukał karteczki, bo karteczka znikła.

Simon ryknął.

— Tu leżał papierek — zawołał — leżał, mówię, ale strzeż się, obywatelu urzędniku, on się musi znaleźć koniecznie.

I wybiegł czemprędzej, zostawiając Maurycego zupełnie przelękłym.

W dziesięć minut później trzech członków gminy weszło do wieży.

Królowa była jeszcze na terasie, a rozkazano, aby broń Boże! nie wiedziała nic o tem co zaszło. Członkowie gminy kazali się do niej zaprowadzić.

Najpierw uderzył ich w oczy pąsowy goździk, który jeszcze w ręku trzymała. Spojrzeli po sobie zdziwieni i przystąpili ku niej.

— Prosimy o ten kwiat — rzekł prezes deputacyi.

Królowa nie spodziewając się takiego napadu, zadrżała i namyślała się.

— Oddaj pani ten kwiat — zawołał Maurycy z pewnym rodzajem trwogi — oddaj proszę.

Królowa podała kwiat żądany.

Prezes wziął go i udał się wraz kolegami do sąsiedniej sali dla dokonania śledztwa i spisania protokółu.

Otworzono kwiat, był pusty.

Maurycy odetchnął.

— Chwilkę, chwilkę, obywatele — rzekł jeden z członków — serce goździka było wyjęte. Prawda, że w osadzie jego nic nie ma, ale musiała ona w sobie koniecznie jakąś kartkę zawierać.

— Jestem gotów — rzekł Maurycy — złożyć wszelkie potrzebne wyjaśnienia. Ale przedewszystkiem proszę, aby mię aresztowano.

— Przyjmujemy twój projekt — powiedział prezes — ale nie skorzystamy z niego. Znany jesteś jako prawdziwy patryota, obywatelu Lindey.

— A życiem mojem ręczę za przyjaciół, których przez nierozsądek tu sprowadziłem.

— Nie ręcz za nikogo — odezwał się prokurator.

Posłyszano wielki ruch na dziedzińcach.

Był to Simon, który po długiem i daremnem szukaniu porwanej przez wiatr kartki, pobiegł po generała Santerre i opowiedział mu zamiar porwania królowej, ze wszelkiemi dodatkami jakiemi bujna jego imaginacya upstrzyć zdołała tego rodzaju wypadek. Skoro przybiegł Santerre, otoczono natychmiast Temple i zmieniono wartę, z wielkiem zmartwieniem Lorina, który protestował przeciw tej zniewadze wyrządzonej jego batalionowi.

— Ah! niegodziwy partaczu — rzekł do Simona grożąc mu pałaszem. — Tobiem to winien ten żarcik, poczekaj, odpłacę ci ja go z procentem.

— Zdaje mi się, że raczej zapłacisz narodowi za wszystko nie zaś mnie — rzekł szewc, zacierając dłonie.

— Obywatelu Maurycy — powiedział Santerre — bądź gotów na rozkazy gminy, która cię wybadywać będzie.

— Wykonam twą wolę, dowódzco; ale prosiłem już i proszę znowu, aby mię aresztowano.

— Poczekaj, poczekaj — chytrze mruknął Simon — skoro ci o to chodzi, postaramy się ułatwić ci ten interes.

I poszedł po starą Tison.

IX.

Znowu bogini rozumu.

Cały dzień na dziedzińcu, w ogrodzie i w okolicy szukano karteczki, która tak wielki rozruch wywołała i niewątpliwie mieściła w sobie spisek.

Badano królowę, oddaliwszy od niej siostrę i córkę; królowa wyznała to jedynie, że na schodach spotkała młodą kobietę, trzymającą bukiet w ręku; że ta kobieta ofiarowała jej bukiet, lecz, że poprzestała jedynie na wzięciu jednego kwiatka, a nadewszystko, że uczyniła to za pozwoleniem urzędnika Maurycego.

Była to istotna prawda w całej swej prostocie i sile.

Wszystko to oświadczono Maurycemu, gdy przyszła kolej na niego, potwierdził on zeznanie królowej jako szczere i prawdziwe.

— Kiedy tak — powiedział prezes — spisek miał miejsce w istocie.

— To być nie może — odparł Maurycy — ja to sam, obiadując u pani Dixmer, zaproponowałem jej, aby przyszła zobaczyć królowę, której nigdy nie widziała. Dnia jednak, ani sposobu w jaki to nastąpi, nie oznaczyliśmy stale.

— Ale opatrzono się w kwiaty — rzekł prezes — i ten bukiet dawno już musiał być zrobiony.

— Bynajmniej, ja sam kupiłem te kwiaty od dziewczyny, która nam zastąpiła drogę na rogu ulicy des Vieillles-Haudriettes.

— Ale, przynajmniej ta kwiaciarka musiała ci sama wybrać ten bukiet?

— Nie obywatelu, sam go wybrałem z pomiędzy wielu innych, prawda jednak, żem wybrał najpiękniejszy.

— Ale, przez drogę można było włożyć weń kartkę?

— Nie, obywatelu, było to niepodobieństwem, gdyż ani na chwilę nie opuszczałem pani Dixmer, aby zaś powkładać kartki w każdy kwiat, bo zważ obywatelu, że Simon utrzymuje iż w każdym znajdowała się podobna kartka, trzeba było przynajmniej pół dnia.

— Lecz przecież czyliż nie można było wsunąć pomiędzy te kwiaty dwóch przygotowanych kartek?

— Uwięziona w moich oczach wybrała jeden kwiatek, ale całego bukietu nie przyjęła.

— A więc, obywatelu Lindey, podług ciebie niema w tem żadnego spisku.

— Owszem, jest spisek — przerwał Maurycy, — i ja sam nietylko tak mniemam, ale jestem o tem przekonany, jednakże przyjaciele moi nie są jego przyczyną. Ponieważ zaś naród nie powinien być narażony na żadną obawę, składam kaucyę i uznaję się więźniem.

— Obejdzie się bez tego — odpowiedział Santerre — z tak wypróbowanemi ludźmi, jak ty, nie postępuje się nigdy w ten sposób! Jeżeli uznajesz się więźniem dla dania rękojmi za twych przyjaciół, ja także uznam się więźniem dla dania rękojmi za ciebie. Rzecz więc jest bardzo prosta, bo w istocie stanowcza denuncyacya nie ma miejsca. Nikt nie będzie wiedział, co tu zaszło. Podwójmy baczność, a mianowicie ty, i tym sposobem nie rozgłaszając tego wypadku, dojdziemy do jego źródła.

— Dziękuję ci dowódzco — rzekł Maurycy — jednak powiem, cobyś sam powiedział, będąc na mojem miejscu. Nie powinniśmy poprzestawać na tem, wypada nam koniecznie wyszukać kwiaciarkę.

— Dobrze się ona skryła; ale bądź spokojny poszukamy jej. Ty, czuwaj nad twemi przyjaciółmi; ja zaś czuwać będę nad korespondencyami więzienia.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W dzisiejszym numerze rozpoczynamy druk prześlicznej powieści pod tytułem

„Wrzos“

napisanej przez Maryę Rodziewiczównę, autorkę „Strasznego Dziadunia“, „Dewajtis“, „Między ustami a brzegiem puharu“, „Na wyżynach“ i t. d.

W przyszłym kwartale zaczniemy drukować jeszcze jedną

bardzo zajmującą powieść.

Nowym abonentom pisma naszego wyślemy na życzenie bezpłatnie początek powieści „Wrzos“.

DZIAŁ KOBIECY.

Eliza Orzeszkowa.

O złych humorach.

(Ciąg dalszy.)

Czasem zamiast mrozu czyni się w domu słota; pająki snują pomiędzy ścianami włókna samotnych milczeń, a z sufitów pada, pada drobny, szary, kwaśny kapuśniaczek. Nuda. Wśród pajęczyn zaś i kapuśniaczku przed oczyma ludzi samotnie po kątach domu rozrzuconych przesuwa się postać, nie tak jak tamta rozgniewana i nienawidząca, ani jak inne bywają, szczypiąca, kłująca, gryząca, lecz przeciwnie, o! przeciwnie! łagodna, cicha, pokorna i tylko o strasznie, bezbrzeżnie, ogromnie, nieuleczalnie nieszczęśliwa. Ta nie dlatego milczy, aby kogokolwiek nienawidziła, ale dlatego, że na wszystko na świecie, więc i na mówienie sił jej już nie staje. Jest to również przyczyną, że dziś nie uczesała włosów, które na ramiona i czoło gałązkami brzozy płaczącej spadają, i nie zapięła porządnie sukni, której brzeg wlecze się za nią bardzo krzywo i trochę za długo. Spełnia wszystkie czynności, które do niej należą, ale ostatkiem sił, z cichą jakąś, lecz niezgłębioną żałością, od której co moment usta drżą i wilgotnieją oczy. Melancholia uosobiona, dusza, która z cierpliwością anielską znosi na ziemi męki czyścowe. Także chmura, lecz nie jak tamta piorunami nabrzmiała, tylko przesycona śmiertelną nudą.

Cóż się stało? Wczoraj jeszcze była z losu swego dość albo i bardzo zadowolona, krzątała się po domu żywo, śmiała się z czegoś wesoło, grała domownikom na fortepianie. Cóż się stało? Co nowego zaszło? Ależ nic wcale. Jest w złym humorze. Oto wszystko. Niby nic, jednak wiele: nuda w domu i kwas w codziennym chlebie domowników.

Kędy zaś panuje mróz, słota, kwas, nuda, — tam i o wojnę łatwo. Nie trzeba rzeczy nadzwyczajnie ważnych, aby ludzi przeciw ludziom uzbroić, i bywa często, że gradzik przywarek i nieprzyjemnostek sprowadza pomiędzy ludźmi strzelaninę gęstszą, niżby to mógł uczynić wulkaniczny wybuch występku albo nieszczęście.

Są ludzie, w których złe humory osoby blizkiej wzniecają gniew, zniecierpliwienie, rozmaite wogóle popędy wojenne; lecz zdarzają się i tacy, którzy wprost ze strachu przed wrażeniami przykremi, z chęcią oszczędzenia ich sobie, wszelkiemi godziwemi i niegodziwemi sposobami starają się, powstawaniu ich zapobiegać. Więc dla zapobieżenia dogadzają, pochlebiają, rozmijają się z różnemi wewnętrznemi i zewnętrznemi prawdami, liżą łapki, przybierają postawy służących piesków, słowem z góry na wszystkich punktach kapitulują. Na wszystkich, bo i na tych także, kędy znajdują się: szczerość, godność osobista i zdrowie ludzkich stosunków. I nie wiem już, co gorsze, wojna, czy taka zawstydzająca i dusze ludzkie zmniejszająca kapitulacya. Co pewna, to że jedna, zarówno jak druga z najlepszemi celami domowego i rodzinnego życia nic wspólnego nie mają.

Złe humory, na pozór tylko drobną rzeczą będąc, stwierdzają znany aksyomat o skutkach ważnych, sprowadzonych przez przyczyny z pozoru nie ważne.

Czem jest zjawisko to? Z czego składa się? Skąd powstaje?

Osoby, ulegające mu, bardzo pospolicie mieszają pojęcie jego z pojęciem smutku. „Wolno każdemu bywać niekiedy smutnym“ — powiadają.

Niech mię Bóg broni, abym smutkowi ludzkiemu bluźniła, abym go na ławie oskarżonych przed sądem świata umieszczała.

Smutek to wielki pan ziemskiego świata i wszyscyśmy jego poddani; smutek to w cyboryum duszy ludzkiej krwawe misteryum męczeństwa i niekiedy odkupienia. I wiem, że według natur różnych, smutek objawia się różnie: bywa pod powierzchnią pogodną cieniem zaledwie dostrzegalnym i niecierpliwie na zewnątrz wybuchającą burzą, bywa jeziorem stale dno serca pokrywającem i zdrojem nagle tryskającym z niegdyś przez życie złożonych w sercu pokładów cierpienia.

(Dokończenie nastąpi.)

Dziecko w świetle hygieny.

Dyfteryt.

Choroba ta znaną jest już oddawna, występowała w wiekach średnich, opisywaną była przez starożytnych Greków, dokładnie jednak została zbadaną po całym szeregu epidemii, które nawie-

dziły Europę i Amerykę w XVIII-tym wieku. Choroba ta przejawia się najczęściej pod postacią dyfterytu gardzieli i krupu krtani, są to identyczne choroby, różnią się tylko umiejscowieniem, w pierwszym przypadku tworzą się błony w gardzieli, w drugim — w krtani. Nazwa dyfteru pochodzi od greckiego wyrazu diftera—błona, podczas bowiem tej choroby tworzą się błony; błony dyfterytyczne tworzyć się mogą jeszcze i w innych miejscach na spojówce samej, na ranach i t. p.

Istotą zarazka dyfterycznego jest t. zw. lasecznik Soefflera, obecnie doskonale znany, dzięki rozmaitego rodzaju doświadczeniom, robionym na zwierzętach. Lasecznik ten jest bardzo żywotny, trwa przez szereg miesięcy, szczególnie, jeśli rzeczy zarażone przechowywane są w ciemnem suchem miejscu (np. w komodzie, szafie), gdy tymczasem pod działaniem słońca zarazek przestaje być jadowitym po 2—3 tygodniach. Widzimy stąd, jak ważnem jest przewietrzanie, czystość i słońce.

Zarazek dyfterytu może być przeniesionym przez powietrze za pomocą kurzu, a więc udzielić się może przez sprzątanie pokojów, w których przebywało dziecko chore, o ile mieszkanie nie było odkażone, w tramwaju, w wagonie, na ulicy i t. p.

Zarażenie udziela się też od ptaków i zwierząt domowych (kur, kotów), wreszcie i to najczęściej wprost od chorego, przez plucie, całowanie, blizkie obcowanie. Tym sposobem objaśniono dyfteryt u lekarzy i osób pielęgnujących chore dzieci. Nawet po przebyciu choroby, dzieci mogą zarazić otoczenie, wiadomą bowiem jest rzeczą, że lasecznik Soefflera, po wyzdrowieniu dziecka, pozostaje przez długi czas w gardzieli i w nosie (około 4—6 tygodni), należy zatem i po chorobie wystrzegać się (np. nie używać tych samych naczyń, łyżeczek i t. p., co chory). Wreszcie zarazek może być jeszcze przeniesionym za pośrednictwem różnych przedmiotów: bielizny, zabawek i t. p. Co należy zatem czynić, gdy w rodzinie jedno z dzieci zachoruje na dyfteryt? Przedewszystkiem należy odosobnić dzieci zdrowe; jeżeli te ostatnie po kilku dniach (do 7-u dni) nie zachorują, to mogą obcować z innemi zdrowemi dziećmi. Powiedziałam kilka do 7-u dni, gdyż jest to liczba przyjęta dla okresu wylęgania choroby.

Zważywszy również to wszystko, cośmy wyżej powiedzieli o sposobie przenoszenia dyfterytu, należy podczas choroby codziennie wycierać podłogę w pokoju dziecka sublimatem. Osoba dozorująca powinna postępować, jak przy ospie. Uwagę zwracać na wydzieliny, bieliznę (przed oddaniem do prania zalać na 24 godziny lysolem 3 proc. lub sublimatem $^1/_{10}$ $^0/_{00}$. Po wyzdrowieniu należy zarządzić dokładną dezynfekcyę.

Ponieważ, jak mówiliśmy, dziecko i po przebytej chorobie posiada w jamie ustnej zarazki jeszcze w ciągu kilku tygodni, może więc zakazić inne, przeto nie należy przed upływem 4—6 tygodni posyłać dziecka do szkoły, aby nie roznosić zarazka. Na zapytanie, czy płukanie gardła chroni dzieci od zakażenia, mogę odpowiedzieć „niestety, nie", płukanie pozwoli jednak utrzymać jamę ustną i gardziel w należytej czystości i uczyni je mniej podatnemi do przyjęcia zarazka, i dlatego należy od najwcześniejszych lat przyzwyczajać dzieci do płukania gardła i uczyć, by nie połykały wody, co może oddać wielkie usługi w czasie choroby, lub w razie epidemii; wreszcie w dużych miastach dyfteryt panuje epidemicznie, to znaczy stale, w epidemię przechodzi najczęściej w jesieni i na wiosnę. Epidemie bywają niekiedy bardzo groźne, zależnem to jest od mniejszej lub większej jadowitości zarazka — a także od danego osobnika — jeden jest mniej, drugi więcej podatny do przyjęcia zarazka. Tutaj jeszcze wspomnę o tem, że dyfteryt tylko na samym początku swego rozwoju jest chorobą miejscową, lasecznik bowiem, jak mówiłam, wywołuje błony na tem miejscu, na którem się znajduje, prócz tego jednak działa na cały ustrój, wytwarza bowiem substancye nader jadowite,. t. zw. toksyny, które przechodzą w krew i trująco działają na organizm, powodując ciężkie objawy, które towarzyszą zazwyczaj błonom dyfterycznym gardzieli. Siła jadu dyfterycznego jest przerażająca, $1^1/_2$ kropli toksyny wystarcza, by zabić morską świnkę ważącą nieco więcej niż funt!

Na szczęście posiadamy środek, który chroni od strasznych skutków tej choroby, o tem na czem polega działanie tego środka, a mam tu na myśli surowicę, a jak się surowicę przygotowuje — pomówimy na innem miejscu.

Dr. med. Matylda Biehler.

Chłodnik łatwym sposobem.

Na cztery osoby wziąć kwartę świeżej kwaśnej śmietany, a mieszając ciągle, wlewać w nią pół kwarty kwasu ogórkowego; osobno ugotować botwinę z 2 buraczków z łyżką octu dla nadania koloru różowego i pokrajaną włożyć w śmietanę; włożyć również 4 jajka ugotowane na twardo i pokrajane w ćwiartki, szyjki rakowe, mały ogórek świeży i drugi kwaszony, w kostkę pokrajany, kawałek jesiotra lub pieczonej cielęciny w kostkę pokrajane. Wszystko dobrze wymieszać, osolić, wsypać trochę siekanego szczypiorku i koperku zielonego, a przed wydaniem włożyć w chłodnik kawałek lodu.

:: HUMORYSTYKA ::

Dziedziczne.

— Janie, znów się strąbiłeś jak bela, czy nie możesz się od tego trąbienia odzwyczaić.

— Nie, proszę pana, to już dziedziczne...

— Więc i twój ojciec był pijakiem?

— Nie... ale był pocztyljonem!

Na jarmarku.

— Ej! kupiec, dyć ten was łokieć jakisik strasecnie krótkawy mi się widzi.

— Glupstwoszcze powiedżeli, moja matko. O ile ten lokiecz jest krótsi, o tele un jest grubsi, co na jedno wichodży...

Nasze dzieci.

— Czego chcesz?

— Chciałbym jeszcze jeść.

— Zlituj się, przecież tyś się chyba dosyć najadła.

— Nie, przecież mnie jeszcze brzuszek nie boli.

Uspokajające.

— Panie konduktorze, podobno na waszej kolei bywają wypadki rozbicia pociągów?

— Nie zawsze; czasami pociąg odbywa kurs bez żadnego nieszczęścia.

W podwórzu kamienicy.

— Handełe! handełe! handełe!...

— Posed kišpoc, bo cie mietłą. Tu siachrów nie potrza.

— Ty! panie parobyk! czego ty sze wszczekniuł!?

— Rusoj za drzwi, bo ci kielce wytłukę!

— Aj waj! jaky wy dentist!...

Różnica.

— Czy pan ma żonę?

— Czy ja mam żonę, na to nie umiałbym trafnie odpowiedzieć, ale że żona mnie ma — to pewne.

„Daj chłopcze półmiski!“ Chłopiec też rozbił miskę całą, i przyniósł mu pół miski.

Na sposoby biorą się.

Rzecz się dzieje o północy przed bramą okazałej kamienicy.

— Chryste Panie, a to co znaczy?.. Stróżujesz we własnej kamienicy?!...

— E, nie, ja tylko na noc przebieram się za stróża, aby choć dyskami odebrać trochę komornego od moich lokatorów.

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego". Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.